

PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:
• Dr Artur Szklener: Jak grać Chopina, by nie zgubić jego ducha • Izrael, Hamas i plan Trumpa.
Michał Wojnarowicz: W tej wojnie nie ma zwycięzców, są tylko przegrani

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



ma
ga
zyn **POLSKA**
Puls METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

FOT. GETTY IMAGES

s.4-5
Wygląda na to, że koalicjanci dogadali się w końcu co do ustawy o związkach partnerskich. To jedna z najważniejszych obietnic koalicji

Doczekamy się związków partnerskich?

s.16-17
Strategia Polska 2035 oparta na 78 miastach w całej Polsce. Skąd taki pomysł?

s.18-19
Od ponad 20 lat siedzi za kratami za morderstwo, którego nie popełnił

s.25
Film „Gwiazdzista eskadra”, czyli zagubione polskie przedwojenne „Top Gun”

Piątek-niedziela, 17-19.10.2025
Nr 83 (2490) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

DO ZGŁOSZEŃ GOTOWI START!

Zawalcz o obiekt sportowy lub kulturalny w Twojej okolicy!

ZGŁOŚ NA WWW.GDYGRASZ.PL

LOTTO
Gdy grasz, wszystko gra!

18+

FUNDACJA LOTTO
(IM. H. KONDOPACKI)

TOTALIZATOR SPORTOWY

LAT

Największy mecenas sportu i kultury

W poniedziałek magazyn

● Reżyserka Kinga Dębska: Przestałam się przejmować tym, co ludzie powiedzą, co pomyślą, co powie rodzina

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Z CZEGO JUTRO ...? CÓŻ SZKODZI BYĆ UCZCIWYM, CZYLI O SKUTECZNYM RAD SPOSOBIE ALBO O WYGRANIU WYBORÓW

Wybory parlamentarne w Polsce nabierają coraz intensywniej znamion dobrowolnego poddania się karze, czyli instytucji prawa karnego zezwalającej oskarżonemu na złożenie wniosku o wymierzenie określonej kary bez dowodowego postępowania. Dowodami w takim postępowaniu mogłyby być programy wyborcze ugrupowań, ale przestano je tworzyć i tym samym publikować dekady temu. Na szczęście dziś w Internecie nic nie ginie i można łapać za słowa oraz domagać się realizacji dawanych obietnic. Dawniej szczegółowo prezentowane rozwiązania zastąpiono dziś sloganami. Nawet jedno-

Adam Sadowski
Centrum Adama Smitha

znacznie brzmiący nie będący pustą znaczeniowo frazą jak ten, że zmiany w podatkach zwłaszcza te, które je podwyższają lub ustanawiają nowe, będą wprowadzane z sześciomiesięcznym vacatio legis, a nie znienacka, co było powszechną praktyką wszystkich rządów, został ostentacyjnie kolejny raz zaprzeczony. Dobrowolne przyznanie się w czasie kampanii wyborczej do braku realizacji tej czy innej obietnicy

wyborczej i przyrzeczenie tym razem solennej poprawy jak dostanie się kolejną szansę od obywateli, nie będzie tak skuteczne jak podobna czynność przed aparatem od sprawiedliwości.

W tym samym czasie w Japonii producent lodów Akagi Nyugyo w emitowanej reklamie przeprosza swoich klientów, którzy są wyborcami jego produktów za pierwszą podwyżkę od ćwierć wieku ceny swoich kultowych lodów Garigari

kun z 60 aż do 70 jenów. Z szacunkiem dla klientów, którzy od dekad wybierają tę markę lodów oraz z dbałości o wizerunek firmy prezes z kadrą zarządzającą i pracownikami złożyli głęboki z pokorą ukłon, jednocześnie składając publiczne szczere i niewymuszone przeprosiny w przeciwieństwie do tych skuteczniaków w polskiej parapolityce dopiero po przyłapaniu na gorącym uczynku.

Transparentność i uczciwość w relacji z otoczeniem konsumentów czy wyborców daje zauważalną przewagę konkurencyjną, która ma niebagatelny wpływ na pomyślność czy to firmy z jej produktami i usługami, czy też na zwycięstwo partii i zdobycie przez nią władzy. Liderzy gospodarczy czy polityczni, którzy w sposób prostolinijny potrafią z niewymuszoną i bez sztuczności empatią wyjaśnić powody swoich decyzji, czy wyższych cen albo podatków obdarzani są bezcennym w każdej profesji zaufaniem. Do jego nieodwołalnej utraty wystarczy błędne przekonanie, że obywatele mają tzw. pamięć złotej rybki, co jest nieprawdą w świetle badań naukowych, które obaliły ten mit o krótkiej ich pamięci, bowiem potrafią one zapamiętywać informacje na wiele miesięcy. Zmiany w wyborach na inne partie, które będą sprawować władzę, są konsekwencją trzymania się politycznego kanonu traktowania obywateli jak złotych rybek przez dotychczas rządzących. Najmniej pamiętający konsekwencje utraty zaufania są sami parający się polityką, dlatego też z uporem godnym przegranej w wyborach kontynuują przechodzenie do porządku dziennego nad składanymi publicznie przyrzeczeniami bez jakiegokolwiek wyjaśnienia i przeprosin. Powtarzające się mimo wcześniej składanych jednoznacznych zapewnień i deklaracji zaskakiwanie obywateli i przedsiębiorców zmianami na ich niekorzyść w podatkach tylko potęguje wzrastającą się agresję do rządzących oraz utrwała uraz i genetyczną nieufność do państwa polskiego, które

postrzegane jest niestety w kolejnych pokoleniach jako wróg własnego społeczeństwa.

Nie ma bezpiecznego zadanania bólu, którym dla społeczeństwa są urzędowe podwyżki cen przekładające się na coraz wyższe koszty życia nieproporcjonalne do uzyskiwanych zarobków. Można odnieść nieodparte wrażenie, że parający się polityką prowadzą ją, stosując obserwację Karola Bunscha, że „gdyby cierpienie uszlachetniało, byłoby cnotą je zadać”. Jednak powinni też mieć na uwadze jego inną obserwację, że „łatwiej odbudować zburzone miasto niż zburzone zaufanie”.

Nie od dziś w rządzeniu zaadaptowano najgorsze praktyki koncernów, które podnoszenie cen lub zmniejszanie gramatury sprzedawanych produktów ukrywają w komunikatach o tzw. korektach cennika lub tworzą złudzenie optyczne umieszczając na opakowaniach krzykliwe napisy XXL, ale bez zwiększania wagi.

Zamiast uczciwego stawiania publicznie sprawy konsumenta czy wyborcę traktuje się jako w najlepszym razie niespełnionego intelektualnie homo sapiens, biorąc za dobrą monetę oraz fałszywe alibi słowa przypisywane Winstonowi Churchillowi, że „najlepszym argumentem przeciwko demokracji jest krótka rozmowa z przeciętnym wyborcą”. Za przyrzeczeniem powszechnej i utartej praktyki w tzw. życiu politycznym, co do którego próbuje się nieustannie przekonywać obywateli, że ze względu na skuteczność nie może go ograniczać moralność i jakiegokolwiek etyka, jest spontaniczny ład uczciwości polskiego społeczeństwa.

Przez administracyjne podnoszenie tzw. wynagrodzenia urzędowego oraz utrzymywanie oligopolu wytwarzających energię elektryczną doprowadzono w Polsce do sztucznej nieopłacalności m.in. kolejnych działów produkcji rolnej, co prowadzi do desperackiego zaniechania zbiorów z pól lub rozdawania pól. Jed-

nocześnie prowadzi się za pieniądze podatników kampanie mające im uświadomić, ile żywości co roku marnują, gdyż według zamówionych „ekspertów” jest zbyt tania. Przy tej samej Wspólnej Polityce Rolnej w państwach Unii Europejskiej okazuje się, że jest ona mniej szkodliwa dla producentów relatywnie tańszej papryki w Holandii, Hiszpanii i Niemiec, z których to miejsc trafia do Polski, powodując tym samym zaleganie jej w rodzimych wytwórców.

Z każdego regionu Polski napływają informacje o desperowanych rolnikach, którzy postanowili oddać swoje zbiory nieodpłatnie, bo nie stac ich przy tych cenach w skupach jeszcze na dowóz do nich. Jednym z nich jest pan Robert ze Skrzyszewa pod Koszalinem, któremu w żaden sposób nie opłacało się swoich jabłek wieźć do pośrednika. Kiedy minęła mu wściekłość, odstąpił od myśli wyrzucenia swoich zbiorów na pole. Przy drodze postawił wóz z workami jabłek, a przy nich skarbonkę i to bez jakiegokolwiek nadzoru z informacją „weź, ile chcesz. Zapłać, ile trzeba”. Według jednej z relacji ludzie zaczęli przyjeżdżać z całego regionu „nie po tani towar, tylko po coś więcej. Po uczciwość. Po zwyczajną ludzką przyzwoitość”. Wóz z jabłkami w Skrzyszewie stoi cały dzień i noc, a w skarbonce jest czasem więcej pieniędzy, niż należy się.

Ład spontaniczny praktykowany na co dzień przez polskie społeczeństwo oraz solidarność oraz samopomoc społeczna, która jako pierwsza pojawia się tam, gdzie instytucje rządowe są obojętne lub zawiodą, jest ostoją polskiej państwowości. Wybory wygryają ci, którzy uznają, że jak zauważył Karol Bunsch, że „wymiana uczciwych myśli jest równie korzystna, jak wymiana towarów w uczciwym handlu”.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 12 października 2025 r. zmarł nasz Kolega

Krzysztof Chojecki

Ceremonia pożegnalna odbędzie się
w piątek 17 października o godz. 12.30
w kościele p.w. Matki Boskiej Królowej Polski
w Wołominie przy ul. Kurkowej 35.



Pozostanie w naszej pamięci,
Koleżanki i Koledzy
z Polska Press Grupy

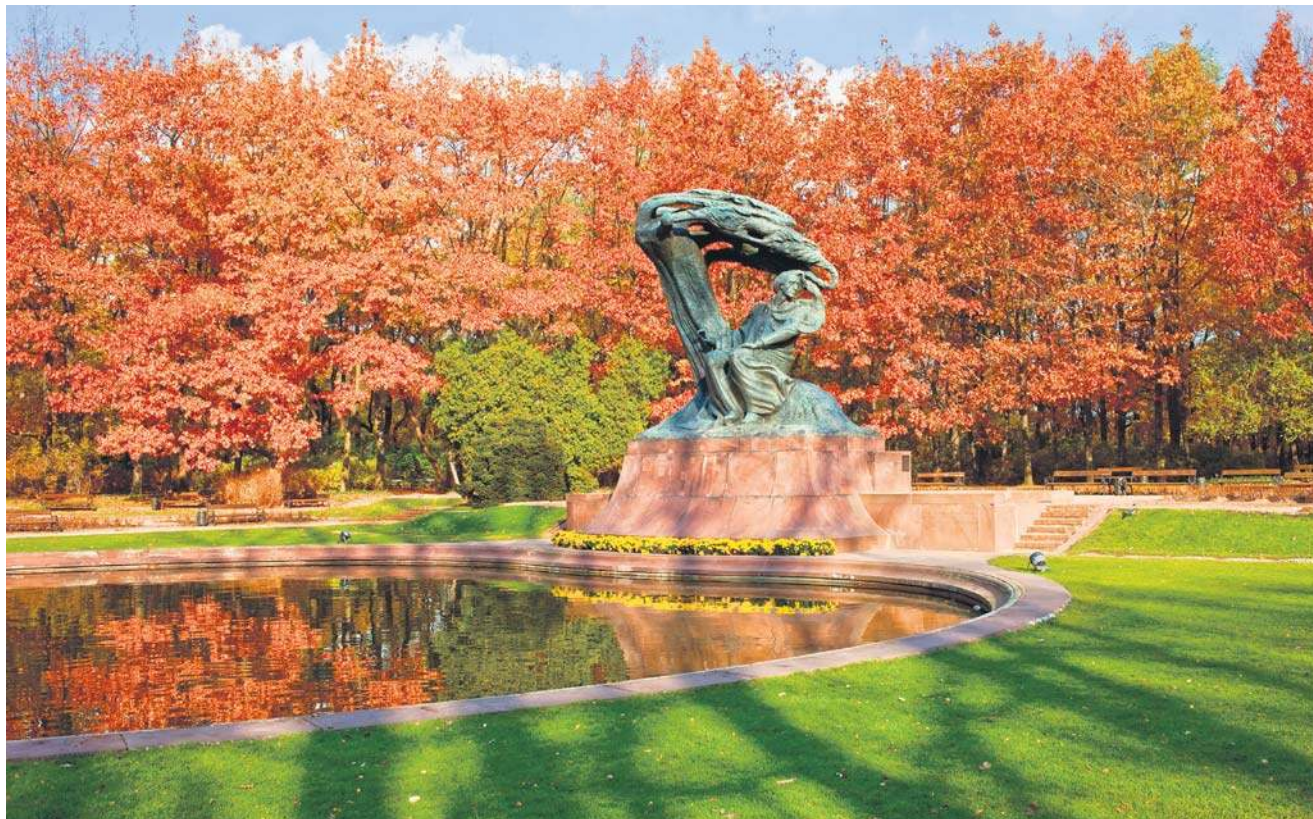
0011417492

Warszawa stolicą światowej pianistyki – Konkurs Chopinowski wychodzi z sal koncertowych

Tegoroczny październik w Warszawie upłynie pod znakiem Chopina. A to za sprawą XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina – jednego z najważniejszych wydarzeń muzycznych na świecie. Warszawa już wielokrotnie udowodniła, że jest stolicą światowej pianistyki, ale w tym roku muzyczne emocje nie zatrzymają się na salach koncertowych. Na Placu Defilad powstanie największa w Polsce ORLEN Strefa Melomana – otwarta i bezpłatna przestrzeń, w której każdy, od najmłodszych po seniorów, będzie mógł poczuć atmosferę niezwykłego święta muzyki.

Warszawa – miasto Chopina
Obecność Chopina w Warszawie czuje się na każdym kroku. Spacer po Łazienkach Królewskich, w których stoi słynny pomnik kompozytora, koncerty fortepianowe w parkach, kamienice, w których bywał – to wszystko przypomina, że to właśnie tutaj młody Fryderyk Chopin występował w kościołach i salach stolicy. I tu komponował pierwsze poważne utwory, inspirowany dźwiękami miasta, które już wtedy tętniło kulturą.

To właśnie w sercu miasta, w którym najwybitniejszy polski kompozytor rozwijał swój talent, powstanie **ORLEN Strefa Melomana**. Plac Defilad na kilka dni zamieni się w miejsce, gdzie historia spotka się z nowoczesnością,



a muzyka fortepianu zabrzmie dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Muzyka klasyczna i relaks w centrum Warszawy
Mieszkańcy będą mogli włączyć się w Konkurs Chopinowski poza salą koncertową i śledzić występy na żywo w namiocie na Placu Defilad. Do wzięcia udziału w muzycznym święcie zachęci specjalna aranżacja strefy nawiązująca do konkursu. Publiczność będzie oglądała finałowe przesłuchania przed **sceną z du-**

żym ekranem do transmisji koncertów, w strefie relaksu z wygodnymi leżakami i kubkiem ciepłego napoju ze Stop Cafe. Przewidziano też instastrefę, czyli dodatkowe miejsce dla osób, które lubią wrzucić zdjęcia i nagrania do mediów społecznościowych. Muzyczne doznania wzmocnią minirecitale artystów. Swoją przestrzeń będą mieli też najmłodsi – do wyboru będą gry, zabawy i **kreatywne warsztaty.**

Całość strefy została zaprojektowana tak, by moż-

na było po prostu wpaść tu na chwilę w drodze z pracy czy ze spaceru i poczuć atmosferę **Konkursu Chopinowskiego.** Aby obcować z muzyką polskiego mistrza, nie trzeba znać nut ani różnic sonat od mazurków – wystarczy ciekawość i ochota na spędzenie czasu w wyjątkowym miejscu.

ORLEN Strefa Melomana również w Płocku
Również w Płocku mieszkańcy będą mogli włączyć się w wydarzenie poza salą

koncertową i śledzić występy na żywo w namiocie na swoim Starym Rynku.

Płock, znany z malowniczego położenia nad Wisłą i bogatej historii, już nieraz udowodnił, że potrafi przyciągać wydarzenia najwyższej rangi. Teraz do festiwali filmowych i koncertów plenerowych dołącza strefa, w której zabrzmie muzyka Chopina. W dniach **18-20 października Płock** stanie się częścią światowego święta pianistów i otworzy się na mieszkańców w zupełnie nowy sposób.

Obecność **ORLEN Strefy Melomana w Płocku** to dowód na to, że wielka kultura może być blisko każdego z nas

ORLEN – mecenas kultury dla każdego

Tak duże przedsięwzięcie nie mogłoby powstać bez organizatora, który od lat udowadnia, że kultura najwyższej próby może być dostępna dla wszystkich. **ORLEN, który jest mecenasem XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina,** tworzy strefę, by światowa pianistyka była na wyciągnięcie ręki mieszkańców. Mecenas nie oznacza wspierania sztuki wyłącznie w jej najbardziej elitarnym wydaniu. Wręcz przeciwnie – celem jest to, by każdy mieszkaniec Warszawy i innych miast mógł stać się częścią tego wydarzenia.

Wielka sztuka nie wymaga eleganckich sal i biletów – w październiku wystarczy wybrać się na Plac Defilad, by w samym centrum Warszawy przeżyć spotkanie z muzyką, która od ponad dwóch wieków zachwyca cały świat.

Strefa w Warszawie będzie działała od 18 do 21 października. Warto zarezerwować sobie choć jeden jesienny dzień, by zająć do tego wyjątkowego miejsca. Niezależnie od tego, czy kochasz Chopina, czy po prostu szukasz ciekawej miejskiej atrakcji, to wydarzenie udowodni, że muzyka klasyczna potrafi oczarować każdego.



Warszawa

Zapraszamy do STREFY MELOMANA

wstęp wolny

z nutą Chopina

ORLEN mecenasem XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina



ZWIĄZKI PARTNERSKIE. CZY TO KONIEC POLITYCZNYCH PRZEPYCHANEK?

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Po dwóch latach rządzenia ludowcy dogadali się w końcu z politykami Lewicy i sprawa może zostać załatwiona. Pytanie, jak zachowają się teraz politycy prawej strony sceny politycznej, a przede wszystkim prezydent Nawrocki

Dorota Kowalska

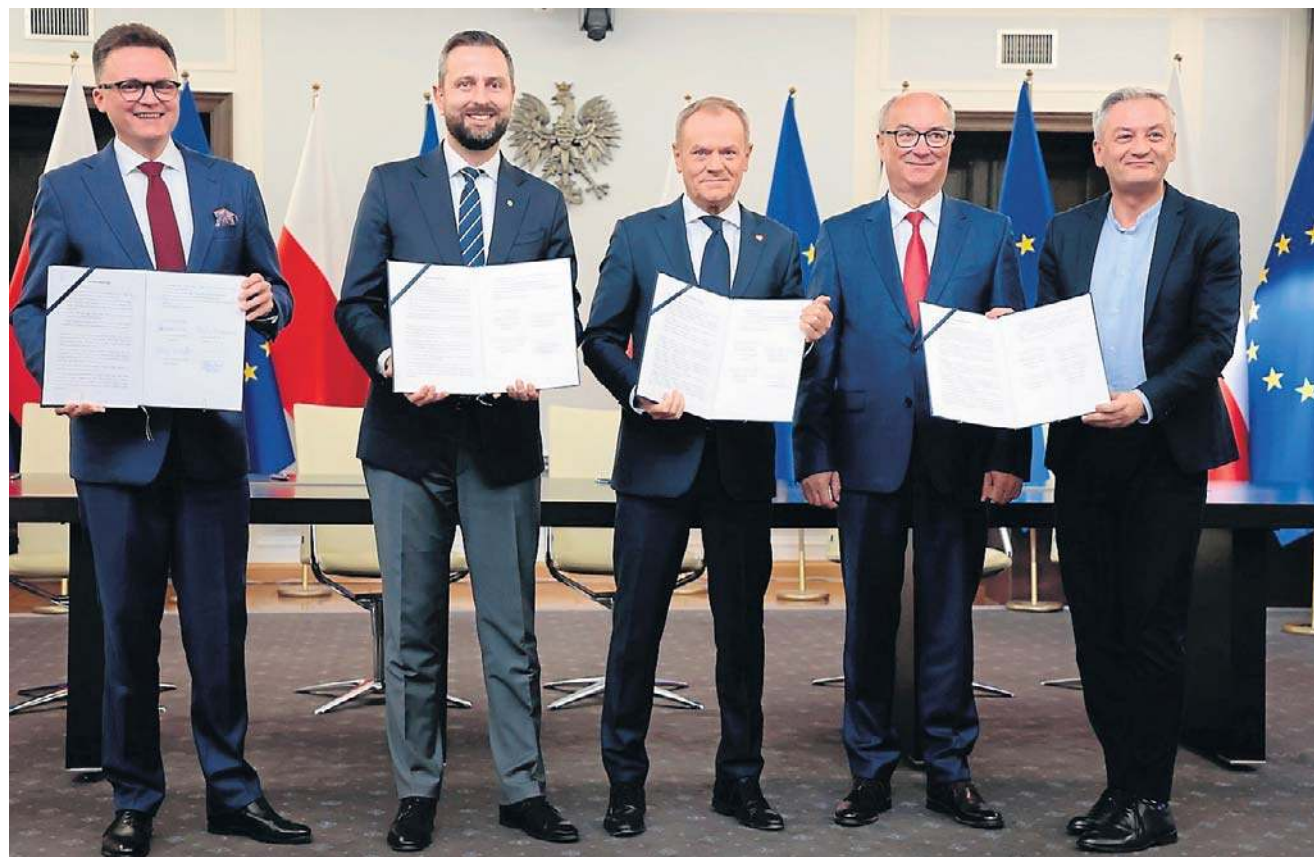
Wzgląda na to, że koalicjanci dogadali się, co do ustawy o związkach partnerskich. Chciałoby się powiedzieć - nareszcie! W tym tygodniu minęło dokładnie 2 lata od wygranych przez koalicję 15 października wyborów parlamentarnych, a sprawa uregulowania sytuacji osób pozostających w takich związkach była jedną z głównych, które niosła na sztandarach.

- Ustawa o związkach partnerskich to priorytet na pierwsze 100 dni po wyborach - zapowiadał Donald Tusk w kampanii wyborczej. Postulat ten znalazł się także w oficjalnym programie Koalicji Obywatelskiej w „100 konkretach na pierwsze 100 dni rządów”.

Może więc prezent dla wyborców? A może politycy będący u steru władzy zdali sobie sprawę, że Polacy zaczynają ich w końcu rozliczać z obietnic wyborczych, właściwie już zaczęli, o czym może świadczyć przegrana Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich.

W każdym razie w piątek ma zostać przedstawiony projekt ustawy regulujący sytuację związków tej samej płci, a także par heteroseksualnych, które nie chcą zawierać małżeństwa i będzie to projekt rządowy. Dokument ma zawierać około 20 uprawnień dla takich związków, m.in. wspólne rozliczenie podatkowe, dziedziczenie, dostęp do informacji medycznej partnera. Umowa ma być zawierana u notariusza, a następnie rejestrowana w urzędzie stanu cywilnego.

- Nie będzie ustawy o związkach partnerskich. Będzie ustawa, która reguluje i ochrania związki nieformalne. Formuła i zasady będą przedstawione w piątek, po głosowaniach. Przedstawi to Władysław Kosi-



Uregulowanie kwestii związków partnerskich było jednym z tematów, które koalicja niosła na sztandarach już w kampanii wyborczej

niak-Kamysz, ja, minister Kotula i marszałek Czarzasty - zapowiedziała w Radiu ZET wiceprezes PSL Urszula Paślawska, która negocjowała ten projekt.

Co dokładnie znajduje się w ustawie?

- Przygotowaliśmy projekt wolnościowy, który ma charakter cywilno-prywatny, gdzie to ludzie mieliby decydować, jaką umowę i na jaki okres chcą zawrzeć i mogliby ją dowolnie kształtować. Ta filozofia również będzie ujęta - tłumaczyła posłanka.

Regulacja będzie dotyczyła różnych związków, ale w większości będą to związki heteroseksualne. Dzisiaj, jak zauważyła Paślawska, „około 2 mln Polaków żyje w związkach nieformalnych, tylko 400 tys. to

związki homoseksualne”, ale jak dodała, „pary homoseksualne będą mogły podpisać taką umowę, która ułatwi im życie i funkcjonowanie”.

Ustawa na pewno nie będzie ustawą małżeńską podobną i nie będzie w niej mowy o ewentualnej adopcji dzieci. Będzie dotyczyła wyłącznie relacji między dorosłymi obywatelami.

Jaką rolę będzie odgrywał Urząd Stanu Cywilnego?

- Państwo będzie miało rekojmie nad informacją dotyczącą relacji cywilnoprawnych, bo będzie to ustawa, która nie jest konfrontacyjna. Ułatwia ludziom życie, a nie narzuca żadnego porządku - zapowiedziała Urszula Paślawska. - Informacja o umowie będzie również w państwowych rejestracji

ujawniana czy poświadczana. To jest konieczne, np. jeśli chcemy doprowadzić do możliwości wspólnego rozliczania się podatkowego - wyjaśniła wiceprezes Polskiego Stronnictwa Ludowego.

I dodała, że jest przekonana, iż ustawa będzie miała znakomitą większość, również prawej strony sceny politycznej. Przepisy są bowiem kompromisowe, odnoszą się do konkretnych dziedzin życia, które nawet

w dyskursie publicznym nie budziły większych wątpliwości.

- Będziemy zwracać się do Pałacu Prezydenckiego z otwartością na propozycje i uwagi, bo bardzo nam zależy, żeby te regulacje weszły w życie. Zwrócę się do Kancelarii z prośbą o współpracę - mówiła wiceprezes PSL.

W ubiegłym tygodniu prezydent Karol Nawrocki zapowiedział w wywiadzie dla „Wprost”, że „z całą pewnością nic, co jest

quasi-małżeństwem”, nie może liczyć na jego wsparcie. Dodał, że jest gotowy do podpisania ustawy o statusie osoby najbliższej, „nie tylko w kontekście seksualnym, ale też w kontekście relacji pomiędzy ludźmi, przyjacielskich, relacji wolontariuszy z kombatanami”.

Cóż, wydaje się, że pewne kwestie muszą zostać uregulowane, co więcej - tego właśnie oczekują Polacy. Jak wynika z najnowszego sondażu Opinia24 dla „Faktów” TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?”. 54 procent ankietowanych stwierdziło, że jest „za”. 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw” wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa”.

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się od miesięcy. W październiku 2024 roku, czyli dokładnie rok temu, na Rządowym Centrum Legislacji zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi - ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu” - napisała wówczas na platformie

**WYBORCY MOGLI CZUĆ SIĘ
ZNIECIERPLIWIEŃ, TYM BARDZIEJ
ŻE SPRAWA UREGULOWANIA
CIĄGNIE SIĘ OD MIESIĘCY**

X minister ds. równości Katarzyna Kotula. I dalej: „Tym samym kontynuujemy proces legislacyjny, który jeszcze nie miał w Polsce miejsca i który mamy nadzieję zakończy się wprowadzeniem do polskiego prawa nowej instytucji. To nowy rozdział w długim marszu po równość, który dzięki wieloletniej pracy wielu organizacji LGBT i społeczeństwa obywatelskiego doprowadził nas do tego historycznego momentu”.

Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw”, po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaracyjna i umożliwiała wspólne rozliczanie podatków.

Zapisy wprowadzały również tzw. małą pieczę.

- Nie ma tam przysposobienia dzieci - podkreślała minister Kotula, przypominając, że to była jedna z kwestii, „które były sporne od początku w koalicji 15 października i na które nie zgadzało się Polskie Stronnictwo Ludowe”. - Tu faktycznie zrobiliśmy taki krok do tyłu, krok kompromisowy i zdecydowaliśmy się na zapisy tylko o małej pieczy. Właściwie są to rozwiązania, które głównie będą służyły tak zwanym rodzinom zrekonstruowanym w parach hetero, kiedy mamy

dwa małżeństwa, które się rozdają i ci ludzie zabierają ze sobą dzieci, żyją w związku nieformalnym - dodała.

Dokument zakładał, że „osoba w związku partnerskim jest uprawniona do uczestniczenia w sprawowaniu bieżącej pieczy nad wspólnie z nim przebywającym dzieckiem pozostającym pod władzą rodzicielską drugiej z osób w związku partnerskim i jego wychowaniu”.

Z kolei projekt ustawy wprowadzającej związku partnerskie zawierał zmiany w ponad dwustu obowiązujących obecnie ustawach, m.in. ustawie Prawo o aktach stanu cywilnego, ustawie o podatku od spadków i darowizn, a nawet ustawie o Policji, Straży Granicznej i Państwowej Straży Pożarnej. Zmienia się także obowiązujące regulacje podatkowe, ustawy dotyczące świadczeń opieki zdrowotnej, czy pomocy społecznej. Chodzi o uwzględnienie w definicjach rodziny osób w związku partnerskim oraz osób, z którymi rodzic dziecka pozostaje w związku partnerskim.

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Zabili posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywano o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL - o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa oparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Pasławska.

- PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończony swój projekt o statusie osoby bliskiej - zapowiedziała wówczas Pasławska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków”.

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali” ustawę o związkach partnerskich nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu bieżącego roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Teraz koalicjanci wreszcie się dogadali i uzgodnili wspólny projekt. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówią, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślają, że wypracowany dokument dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący. Również szef MON i lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz stwierdził, że rozmowy jego ugrupowania z Lewicą nie dotyczyły ustawy

o związkach partnerskich, a ustawy o statusie osoby najbliższej, o której przychylnie wypowiadał się prezydent Karol Nawrocki. Zdaniem Władysława Kosiniaka-Kamysza, również posłowie PiS-u zagłosują za tym projektem.

Każda ze stron odtrąbiła więc swój sukces, ale chyba nie to jest ważne, a fakt, że sytuacja osób pozostających w nieformalnych związkach może zostać w końcu uregulowana.

To odpowiedź nie tylko na oczekiwania Polaków, ale i na wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z dnia 12 grudnia 2023 roku w sprawie Przybyszewska i inni przeciwko Polsce, zgodnie z którym Polska jest zobowiązana do zapewnienia ram prawnych umożliwiających parom tej samej płci odpowiednie uznanie i ochronę ich związku.

Na zawieranie zarejestrowanych związków partnerskich, również parom tej samej płci, pozwalają obecnie w Unii Europejskiej: Austria, Belgia, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Niemcy, Grecja, Węgry, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Malta, Holandia, Słowenia, Hiszpania i Szwecja. W sumie 20 państw.

W wielu z nich pary homoseksualne mogą też zawierać małżeństwa. Holandia zalegalizowała małżeństwa jedнопłciowe jako pierwsze państwo na świecie.

Pary w tym kraju mogą obecnie wybierać między małżeństwem, związkiem partnerskim (geregistreed partnerschap), a umową o wspólnym pożyciu (samenlevingscontract). Małżeństwo i związek partnerski mają niemal identyczne skutki prawne - dotyczą m.in. dziedziczenia,

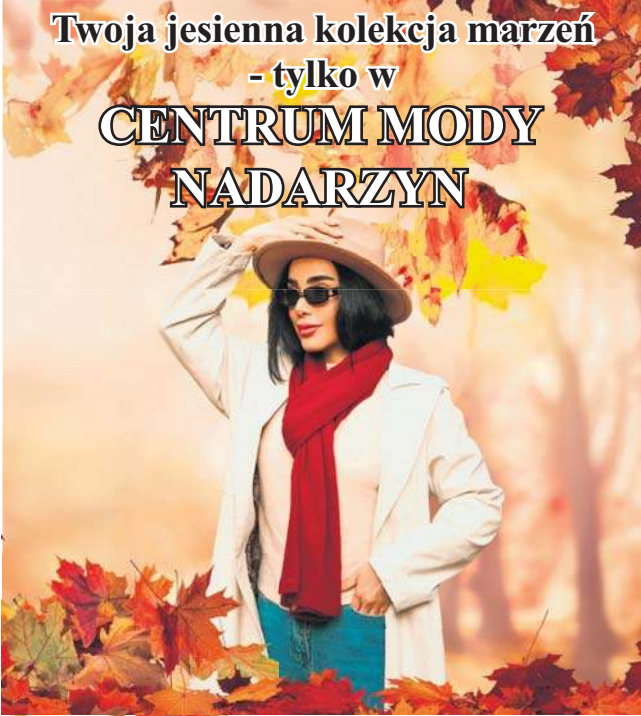
podatków i opieki nad dziećmi. W przypadku par lesbijskich współmążka może uzyskać status rodzica po uznaniu dziecka. Od 2018 roku obowiązuje system ograniczonej wspólnoty majątkowej, obejmujący jedynie majątek nabyty po ślubie lub rejestracji związku. Związki zawarte za granicą są w Holandii uznawane, jeśli są zgodne z prawem danego państwa.

W każdym razie, Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których kwestie związków partnerskich nie są uregulowane. Teraz to może się zmienić. Tematem niebawem zajmie się Sejm. W tym tygo-

dniu marszałek Szymon Hołownia poinformował, że zdjął z porządku obrad dwa poselskie projekty ustaw w tej sprawie, złożone w czerwcu w Sejmie przez Lewicę. Dodał, że według jego wiedzy na przyszłym posiedzeniu Izba zajmie się propozycją uregulowania sytuacji osób pozostających w związkach nieformalnych. Rzecznik rządu Adam Szałka potwierdził we wtorek, że projekt wypracowany przez polityków PSL-u i Lewicy ma być projektem rządowym. Wygłąda więc na to, że „ten priorytet” koalicji 15 października może zostać w końcu załatwiony. PAP

REKLAMA 0311243884

Twoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN



Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy

CM
ELEGANCJA

**Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn**
tel. 22 739 55 00

MATERIAŁ INFORMACYJNY PROGRAMU APETYT NA POLSKIE. MISTRZOWIE 5 PORCJI

Dlaczego warto świętować Światowy Dzień Owoców i Warzyw?

Już dziś, 17 października obchodzimy Światowy Dzień Owoców i Warzyw – święto, które jest realną okazją, by przypomnieć sobie, jak wielką moc mają te kolorowe dary natury. Warzywa i owoce to fundament zdrowej diety – dostarczają witamin, składników mineralnych, błonnika i cały arsenał antyoksydantów, związków wspierających nas w codziennej walce ze stresem oksydacyjnym, zmęczeniem i chorobami cywilizacyjnymi.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zaleca, aby codziennie spożywać co najmniej 400 g warzyw i owoców, najlepiej w pięciu porcjach. Co ważne, jedną z nich może stanowić szklanka (200 ml) soku owocowego, warzywnego lub owocowo-warzywnego – to praktyczny i smaczny sposób



na wzbogacenie i wzmocnienie naszej diety.

Dlaczego warto postawić na różnorodność?

Kolory warzyw i owoców to nie tylko uczta dla oczu,

ale też wskazówka, jakie cenne związki kryją się w środku. Czerwone pomidory zawierają likopen, zielone brokuly dostarczają sulforafanu, pomarańczowe marchewki – beta-karotenu, a fioletowe ja-

gody – polifenoli o działaniu przeciwzapalnym. Te związki stanowią naturalną tarczę, która wzmacnia odporność, chroni serce i zmniejsza ryzyko cukrzycy czy niektórych nowotworów.

Jesień to czas, kiedy szczególnie warto pamiętać o takich sprzymierzeńcach. Szklanka soku jabłkowego dostarczy witaminy C i polifenoli wspierających układ odpornościowy. Sok marchwiowy – bogaty w beta-karoten – nie tylko poprawi koloryt skóry, ale też zadba o nasze oczy i naturalną barierę ochronną organizmu. Sok buraczany, bogaty w naturalne azotany, wspiera krążenie i dotlenienie mózgu, co docenią zwłaszcza seniorzy. Sok pomidorowy zawiera likopen, który ma istotne znaczenie we wspieraniu funkcjonowania układu krążeniowego. Włączenie takich soków do codziennej rutyny to prosty sposób, by przygotować ciało na chłodniejsze miesiące.

O czym warto pamiętać na co dzień?

Warto pamiętać, że soki

mają cenne właściwości, najlepiej traktować je jako uzupełnienie diety. Najzdrowsza dieta to ta, w której warzywa i owoce pojawiają się w każdym posiłku – w różnorodnych formach: surowe, gotowane, pieczone czy właśnie w postaci soku.

Światowy Dzień Owoców i Warzyw to świetna okazja, by zacząć „kolorową misję”. 5 porcji owoców i warzyw dziennie to naprawdę niewiele, a ich systematyczne spożywanie wzmacnia zdrowie, samopoczucie i odporność. A skoro jedna porcja może mieć postać soku – tym łatwiej o sukces!

Autor: dr hab. n. med. i n. o zdr. Beata Sińska, Kierownik Zakładu Żywności Człowieka Wydział Nauk o Zdrowiu Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

#Fundusze Promocji

To był naprawdę piracki rajd, a przede wszystkim bardzo niebezpieczna sytuacja. W poniedziałek na drodze ekspresowej S3, pomiędzy miejscowościami Gałuszka a Radwanice, poseł Łukasz Mejza pędził z prędkością 200 km/h. Na tym odcinku obowiązuje ograniczenie do 120 km/h. Policjanci chcieli polityka ukarać mandatem w wysokości 2,5 tysiąca złotych i 15 punktami karnymi, ale Mejza odmówił jego przyjęcia, zasłaniając się immunitetem poselskim. W końcu jest parlamentarzystą, a kto parlamentarzystę zabroni?!

Minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński napisał: „Niejaki Mejza pędził 200 km/h. Odmówił przyjęcia mandatu. Bo przecież jest posłem.... posłem PiS. Nie odpuścimy. Policja zrobiła swoje. Mejza odpowie za ten barbarzyński rajd”.

Na piracki rajd Mejzy zareagowali między innymi Donald Tusk i Szymon Hołownia, internet zalała fala niepochlebnych komentarzy. Nawet partyjni koledzy posła Mejzy nie mieli dla niego litości.

„Immunitet nie chroni przed odpowiedzialnością za wykroczenia drogowe posła czy senatora. Prawo w tej sprawie obowiązuje od 10 lat. Żaden parlamentarzysta nie może zasłaniać się „legitymacją poselską”. Te sprawy powinny być już oczywiste dla posłów. Dzięki za uwagę” - przypomniał poseł Jerzy Polaczek.

Piotr Król z Prawa i Sprawiedliwości zauważył, że policja wręcza mandat, nalicza punkty bez względu na to, jaki wykonuje się zawód, bo takie mamy prawo w Polsce.

Co ciekawe, sytuację postanowił skomentować również Maciej Wąsik, który sam w związku z przekroczeniem uprawnień przy tzw. aferze gruntowej, stracił immunitet.

„O ile Łukasz Mejza sam nie zrzeknie się immunitetu, jestem pewien, że moim Koleżankom i Kolegom z PiS nie zadrży ręka przy głosowaniu nad jego immunitetem w tej sprawie” - napisał.

Najostrzej zareagował jednak europoseł PiS Joachim Brudziński.

„Wielu internautów zarzuciło mi (słusznie), iż napisałem o tym, że każdemu zdarza się mieć „ciężką nogę” na autostradzie. Na szczęście nie każdemu, każdemu natomiast za przekroczenie prędkości należy się mandat i co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Niesłuszne są natomiast Wasze zarzuty wobec mnie, że biorę posła Mejzę w obronę, otóż nie biorę, jednoznacznie potępiłem jego bandycki rajd po drodze i uważam, że Mejzy nie powinno być w naszych szeregach” - napisał w środę w serwisie X.

Dzień wcześniej Brudziński skomentował, że „każdemu

WSZYSTKIE PRZYPADKI ŁUKASZA MEJZY

Poseł Łukasz Mejza kreuje się na niegrzecznego chłopca, którego kochają wyborcy. Wszak piracki rajd na trasie S3 nie jest jedynym jego przewinieniem. Problem w tym, że ci sami wyborcy mogą się w końcu poczuć oburzeni i jego bezczelnością i pobłażliwością, z jaką traktuje go kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości. Bo Mejza staje się powoli synonimem obciachu

Dorota Kowalska



W Prawie i Sprawiedliwości coraz częściej słyszy się głosy, że Mejza oznacza kłopoty. Część partii domaga się, wciąż nieoficjalnie, zawieszenia posła

(niestety) zdarza się mieć „ciężką nogę” na autostradzie czy drodze szybkiego ruchu, ale zasłanianie się w chwili zatrzymania przez policję za ewidentne złamanie przepisów ruchu drogowego immunitetem poselskim jest nie tylko nieetyczne, ale jest czymś skrajnie głupim i nieodpowiedzialnym. Mam nadzieję, że poseł Mejza sam zrzeknie się immunitetu w tej sprawie i nie będzie narażał naszego klubu na ataki za jego idiotyczną postawę” - dodał.

W każdym razie w Prawie i Sprawiedliwości coraz częściej słyszy się głosy, że Mejza oznacza kłopoty. Ponoć część partii domaga się, wciąż nieoficjalnie, zawieszenia posła PiS w klubie lub nawet jego wyrzucenia.

Sam zainteresowany, krótko po tym, jak media obiegała informacja o jego drogowych wyczynach, wydał oświadczenie.

„Źle się zachowałem i nie mam zamiaru pie***ć głupot,

bo nic tego nie tłumaczy. Przepraszam. Taka sytuacja nie powtórzy się więcej” - oznajmił.

Rzecznik PiS Rafał Bochenek zachowuje jednak spokój, poinformował, że sprawa przekroczenia prędkości przez Mejzę „będzie analizowana przez naszą komisję etyki”.

„Łukasz Mejza w swoim stylu, ale mimo wszystko publicznie przeprosił za swoje zachowanie i jasno się wypowiedział, że jest gotów ponieść pełną odpowiedzialność: pokryć wystawiony mandat, a jeśli zajdzie taka konieczność, to zrzec się immunitetu” - napisał.

I zaatakował obóz rządzący. Oceniał bowiem, że zachowanie Mejzy „to zgoła odmienne standardy od tych, które obowiązują w PO”. Jego zdaniem, „gdy politycy PO są łapani na gorącym uczynku dużo poważniejszych spraw, w tym przestępstw, natychmiast ukrywają się za immunitetem lub mdleją i uciekają z kraju”.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński przyjął podobną strategię: inni są winni jeszcze bardziej.

- To jest wykroczenie drogowe. Jeżeli ktoś sądzi, że my z tego powodu będziemy wyrzucali z partii... - mówił Kaczyński w Sejmie, dopytywany przez dziennikarzy o tę sprawę.

Na pytanie, czy taka osoba powinna być w parlamencie, prezes PiS odpowiedział, że „ostatnie osoby, które powinny na ten temat mówić, to są osoby, które wspierają Platformę Obywatelską”. Zastrzegł, że nie ma tu na myśli zadającej pytanie dziennikarki.

- Oni wszyscy nie powinni być w parlamencie - tak odpowiedział.

Koniec końców, Mejza sam zrzekł się immunitetu. Tyle, że jako poseł ma dużo więcej za uszami. W 2020 roku razem z Tomaszem Guzowskim założył spółkę Vinci NeoClinic z siedzibą w Zielonej Górze, która miała prowadzić działalność go-

spodarczą m.in. w zakresie organizacji turystyki i opieki zdrowotnej.

24 listopada 2021 roku dziennikarze Wirtualnej Polski opublikowali szokujący artykuł. Przytaczali relacje rodziców nieuleczalnie chorych dzieci, którym firma Łukasza Mejzy proponowała cudowną terapię za 80 tys. dolarów.

- Ja bym temu ch... dupę skopała. Jak można tak ludzi oszukiwać? - mówiła jedna z matek.

Jak ujawnił portal, założona przez Mejzę spółka oferowała leczenie nieuleczalnych przez współczesną medycynę nowotworów i chorób neurologicznych. Terapię „pluripotencjalnymi komórkami macierzystymi” miała też pomagać przy autyzmie, udarach mózgu, chorobie Alzheimera i Parkinsona, stwardnieniu rozsianym czy zaniku mięśni. Dla seniorów była oferta regeneracji mózgu, poprawy sprawności seksualnej, redukcji blizn czy wydłużenie długości i jakości życia „nawet o 14 proc.”. Wszystko to za jedyne 80 tys. dolarów. Jako telefon kontaktowy w folderach wpisywano numer Łukasza Mejzy.

WP przytacza relacje rodziców, z którymi kontaktował się asystent Mejzy Franciszek Przybyła. Wszyscy dysponowali małymi, zapisami rozmów lub telefonów od ludzi z firmy Vinci NeoClinic.

„Mechanizm wyszukiwania rodzin był prosty: współpracownicy firmy korzystali w tym celu z mediów społecznościowych, ale również stron fundacji i stowarzyszeń, które pomagają chorym” - pisali dziennikarze WP. „Była to kopalnia przyszłych kontaktów - rodzice korzystający ze wsparcia różnych organizacji najczęściej prowadzili również zbiórki pieniędzy. Łatwo było ich zlokalizować, wysłać wiadomość. I czekać na kontakt”.

Posłowie Lewicy, Anita Kucharska-Dziedzic i Maciej Kopiec, natychmiast złożyli zawiadomienie do prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Sam Łukasz Mejza w oświadczeniu opublikowanym w mediach społecznościowych napisał, że spółka Vinci NeoClinic „nigdy nie zamierzała prowadzić i nie prowadziła działalności medycznej. Przedmiotem jej działalności miało być prowadzenie biura turystyki medycznej” oraz że podjął kroki prawne, by chronić swoje dobre imię i reputację. Potem, na konferencji prasowej oświadczył, że jest ofiarą pomówień i „największego ataku politycznego po 1989 roku”, nie odpowiadał jednak na pytania dziennikarzy.

Ale to nie wszystkie interesy posła Mejzy. W czerwcu 2019 Łukasz Mejza założył firmę Future Wolves, która miała zajmować się przeprowadzaniem szkoleń z zakresu kompetencji miękkich, relacji w zespole, sze-

roko rozwiniętej obsługi klienta. Firma otrzymała dofinansowanie z Europejskiego Funduszu Społecznego. Future Wolves miał prowadzić szkolenia w ramach projektu „Lubuskie Bony Rozwojowe w subregionie zielonogórskim - edycja II”. Lubuska Agencja Rozwoju Regionalnego przekazała na ten cel niemal milion złotych, a część współfinansowała Unia Europejska. Kontrola zlecona przez zarząd województwa lubuskiego wykazała, że firma Łukasza Mejzy przeszkoliła 76 pracowników z 37 firm za kwotę ponad 883 tys. złotych brutto. Agencja Rozwoju Regionalnego, która jest wyłonionym w konkursie beneficjentem projektu, nie mogła zweryfikować, czy usługi szkoleniowe świadczone przez firmę Łukasza Mejzy były adekwatne do wykazanych kosztów. Zarząd województwa lubuskiego podjął decyzję o skierowaniu zawiadomienia do prokuratury.

Z kolei w tym roku media obiegała inflacja, że do domu Mejzy wezwano policję. Poseł Prawa i Sprawiedliwości „miał awanturować się z partnerką”. Kobieta zadzwoniła na policję, podobnie polityk.

- To jakiś kolejny polityczny bullshit. Absolutnie nic takiego nie miało miejsca. Fantazja dziennikarska mnie poraża... Co jeszcze wymyślicie na potrzeby politycznej nagonki? Jakiś atak terrorystyczny też planowałem przeprowadzić? A może przemyt prostytucji przez granicę? Owszem, doszło do małej różnicy zdań między mną a moją partnerką, ale wszystko w granicach zdrowego ogniska domowego - skomentował w rozmowie z portalem poscigi.pl, który opisał tę historię, oburzony poseł.

Sprawą jednak zajęła się Prokuratura Rejonowa w Międzyrzeczu.

Jest też kwestia oświadczeń majątkowych posła Mejzy. Prokuratura przedstawiła mu jedenaście zarzutów: siedem dotyczy podania nieprawdy lub zatajenia prawdy w oświadczeniach majątkowych złożonych przez posła. W trzech sprawach chodzi o podejrzenie podania nieprawdy w oświadczeniach majątkowych złożonych przez Łukasza Mejzę jako sekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego i potem, wiceministra sportu. W jednej - niedopełnienia obowiązku zgłoszenia przez polityka jako funkcjonariusza publicznego wymaganych informacji nie później niż w ciągu 30 dni do rejestru prowadzonego przez marszałka Sejmu. W związku z tymi zarzutami Mejza wyraził zgodę na pociągnięcie do odpowiedzialności.

Cóż, politycy Prawa i Sprawiedliwości mają rację: Łukasz Mejza to kłopoty. W każdym razie jako polityk budzi więcej niesmaku i zażenowania niż szacunku.

Gaz ziemny filarem bezpieczeństwa. Bez niego transformacja się nie uda

Bezpieczeństwo energetyczne to jedno z najważniejszych wyzwań dla Polski. Gaz ziemny stał się kluczowym elementem, który nie tylko stabilizuje system elektroenergetyczny i wspiera transformację w stronę OZE, ale jest też, wraz z ropą naftową, ważnym surowcem dla przemysłu. Dzięki dywersyfikacji dostaw z importu i własnemu wydobyciu, Polska uniezależniła się od Rosji, a jej system gazowy uchodzi dziś za jeden z najbardziej odpornych w Europie. Daje to pewność dostaw gazu w odpowiednio niskich cenach jako paliwa i surowca na potrzeby gospodarki i milionów gospodarstw domowych.

Gaz – stabilizator i surowiec strategiczny

Jeszcze kilkanaście lat temu gaz ziemny na świecie, ale i w Polsce nie miał takiego znaczenia, jakiego nabiera dzisiaj. Zdominowani przez węgiel, traktowaliśmy go raczej jako paliwo uzupełniające. Tymczasem sytuacja zmieniła się diametralnie. W 2024 roku jedna trzecia gazu była wykorzystywana do produkcji energii elektrycznej i ciepła, a przemysł odpowiadał za około 40 proc. jego zużycia. To pokazuje, że gaz stał się nie tylko elementem transformacji energetycznej, ale też surowcem absolutnie kluczowym dla stabilności gospodarki.

Nie chodzi jednak wyłącznie o energetykę. Gaz jest niezbędny w chemii, petrochemii, przemyśle stalowym, produkcji nawozów czy przetwórstwie żywności. Międzynarodowa Agencja Energetyczna (International Energy Agency, IEA) podkreśla, że trzy czwarte przemysłowych zastosowań gazu to produkcja amoniaku i metanolu – bez nich trudno wyobrazić sobie bezpieczeństwo żywnościowe i funkcjonowanie wielu branż. Warto dodać, że w Europie koszty gazu od lat mają bezpośredni wpływ na konkurencyjność zakładów chemicznych i nawozowych. Wysokie ceny w ostatnich latach stały się poważnym wyzwaniem, szczególnie dotkliwie odczuwalnym w 2022 r., gdy gwałtowny wzrost cen gazu w Europie, wywołany agresją Rosji na Ukrainę i poprzedażającymi ją działaniami destabilizującymi rynki ener-



tyczne, spowodował także kryzys na rynku nawozów. Obecnie ustabilizowana sytuacja na rynku gazu wpływa też na dostępność surowca po konkurencyjnych cenach.

Dywersyfikacja źródeł – LNG, Baltic Pipe i kontrakty

Wydobycie krajowe, dostawy LNG i surowiec przesyłany z Norwegii przez gazociąg Baltic Pipe, w dużej części pochodzący z własnej produkcji Orlen Upstream Norway, to główne źródła gazu ziemnego. W 2024 roku LNG pokrywało już około jedną trzecią zapotrzebowania. Terminal w Świnoujściu ma moc 8,3 mld m³, a w 2028 roku uruchomiony zostanie gazoport w Gdańsku, który doda kolejne 6,1 mld m³. To daje razem 14,4 mld m³ – wolumen odpowiadający niemal całemu krajowemu zapotrzebowaniu sprzed dekady. Do tego Orlen ma rezerwy mocy w terminalu Kłajpedzie, na poziomie 0,5 mld m³ rocznie.

Warto zauważyć, że Polska inwestuje także w rozbudowę sieci przesyłowej i magazynów gazu. Obecnie krajowe magazyny mogą pomieścić ponad 3,3 mld m³, co pozwala zabezpieczyć odbiorców w okresach wzmożonego zapotrzebowania lub zawirowań na rynkach globalnych. A trwająca rozbudowa największego polskiego podziemnego magazynu gazu w Wierchowicach, w niedalekiej przyszłości pozwoli powiększyć pojemności magazynowe do ponad 4

mld m³. Dzięki temu system gazowy jest nie tylko zróżnicowany pod względem źródeł, ale też odporny na nagłe kryzysy.

Własne wydobycie – Polska i Norwegia

Krajowe bezpieczeństwo energetyczne nie opiera się wyłącznie na imporcie. Coraz większe znaczenie ma własne wydobycie. W 2024 roku Grupa Orlen wyprodukowała 8,6 mld m³ gazu – o ponad 20 proc. więcej niż rok wcześniej. Prawie połowa krajowego zapotrzebowania była pokrywana dzięki złożom w Polsce i Norwegii.

Strategia Orlen 2035 zakłada dalszy wzrost produkcji – do 12 mld m³ rocznie. Z tego 6 mld m³ ma pochodzić z Norwegii, a 4 mld m³ z Polski. To ambitne cele, ale niezbędne dla wzmocnienia niezależności i stabilności dostaw. Rozważane są także kierunki rozwoju w Ameryce Północnej, gdzie działa już spółka Orlen Upstream Canada, a potencjał wydobywczy węglowodorów jest ogromny.

Własne złoża to również konkretne korzyści dla regionów. W 2024 roku samorządy oraz Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej otrzymały od Orlen blisko 220 mln zł z tytułu podatków i opłat eksploatacyjnych. Te środki wspierają lokalne budżety, umożliwiają inwestycje w infrastrukturę drogową, edukacyjną czy społeczną. W praktyce oznacza to,

miały również inwestycje w technologie ograniczające emisję, takie jak biometan czy wodór, które w dłuższej perspektywie mogą uzupełniać gaz ziemny w miksie energetycznym.

Dla ORLEN właśnie wydobycie krajowe oraz to zlokalizowane w Norwegii jest kluczowe, gdyż zapewnia bezpieczeństwo dostaw – z jednej strony dostępność surowca, z drugiej – odpowiednią cenę. To właśnie cena surowców energetycznych przekłada się na koszty ponoszone przez firmy działające w danym kraju, a co za tym idzie – efektywność ekonomiczną jego gospodarki. Rozumiejąc to, ORLEN inwestuje w wydobycie w kraju i jego pobliżu – na Norweskim Szelfie Kontynentalnym.

Gaz jako inwestycja w przyszłość

Budowa odpornego systemu gazowego wymaga ogromnych nakładów. Roczne inwestycje Grupy Orlen w segmencie obejmującym upstream, zgodnie z przyjętą strategią wyniosą średnio 7-8 mld zł, a całkowite nakłady inwestycyjne w okresie 2025-2035 roku mogą sięgnąć ponad 80 mld zł. To pieniądze inwestowane przez koncern także w krajowe wydobycie gazu i ropy naftowej, które jest najbezpieczniejszym, bo najtrudniejszym do zakończenia źródłem surowca dla energetyki i przemysłu. Bez ropy i gazu trudno wyobrazić

sobie produkcję opon, samochodów, nawozów sztucznych czy butów.

Orlen rozwija również technologie przyszłości – m.in. wychwyt i składowanie CO₂ (CCS) czy zielony wodór. Nie widać na horyzoncie efektywnych metod magazynowania energii elektrycznej. Wodór może w tym pomóc, a upstream z technologią jego magazynowania odegrać kluczową rolę. W dążeniu do osiągnięcia neutralności klimatycznej gaz będzie mógł pełnić funkcję paliwa pomostowego jeszcze przez wiele lat. Dlatego Orlen chce kontynuować i rozwijać własne wydobycie, szczególnie to krajowe, bo własny surowiec daje największą pewność dostaw. Przy tym bliskość złóż oznacza choćby niższy koszt jego transportu. Rosnące wydobycie z zasobów krajowych zwiększa zatem dostęp do bezpiecznej i przystępnej kosztowo energii. Polska gospodarka zyska nie tylko czas na przejście do zeroemisyjnych źródeł energii, ale stabilne dostawy gazu zapewnią fundament dla rozwoju przemysłu, zmian w energetyce, bezpieczeństwa gospodarstw domowych i poprawy efektywności ekonomicznej gospodarki. Właśnie w tym połączeniu – klasycznych zasobów i nowoczesnych technologii – kryje się siła gazu ziemnego, który pozostaje jednym z filarów bezpieczeństwa i rozwoju kraju.



Strefa Gazy wygląda dziś jak Warszawa po powstaniu 1944 roku. Czy w Gazie da się dzisiaj żyć? Jak żyją jej mieszkańcy?

Jeśli chodzi o Strefę Gazy, to rzeczywiście mówimy o obszarze całkowicie zdewastowanym. Ofensywa na samo miasto Gaza została wstrzymana, więc nie doszło tam do tak dramatycznych scen, jakie widzieliśmy wcześniej na południu czy północy tej enklawy. Niemniej jednak sytuacja pozostaje bardzo trudna. Ludność palestyńska była wielokrotnie zmuszana do ewakuacji, wysiedleń, ucieczki. Teraz, korzystając z częściowego zawieszenia broni, część ludzi stara się wrócić do swoich domów albo po prostu do miejsc, w których te domy kiedyś stały. Mówimy o prawie dwóch milionach osób na terenie zniszczonym wojną. Nadal jest wiele niewiadomych co do przyszłości Strefy Gazy, zwłaszcza na poziomie politycznym. Jeśli chodzi o wymiar ludzki, straty są olbrzymie. Doraźna pomoc humanitarna obejmuje żywność, leki, wodę, schronienie, namioty, panele słoneczne, słowem wszystko to, co może zapewnić choć minimalne warunki do przetrwania. Dochodzi kwestia odbudowy: dostępu do materiałów budowlanych, odgruzowania, a także rozminowania, bo mówimy o obszarze, na którym pozostało wiele niewybuchów.

Ogromne są też potrzeby medyczne i infrastrukturalne, zwłaszcza w zakresie dostępu do wody i odsalania.

Co właściwie oznacza „katastrofa humanitarna” w Strefie Gazy? Jak wygląda codzienność mieszkańców, kiedy nie ma wody, leków ani prądu?

Można sobie tylko próbować wyobrazić, jak wygląda życie w takich warunkach. Nawet gdybyśmy byli w bezpiecznych

Michał Wojnarowicz: W tej wojnie nie ma zwycięzców, są tylko przegrani

– Zniszczone miasta, brak wody, leków i prądu, miliony ludzi bez dachu nad głową. Pokój w Strefie Gazy jest możliwy, ale nikt nie jest dziś gotowy, żeby zapłacić jego cenę – mówi Michał Wojnarowicz, ekspert PISM do spraw Izraela i Palestyny

Anita Czapryn

murach własnego domu, brak prądu, wody i jedzenia uniemożliwiłyby normalne funkcjonowanie. A tu mówimy o sytuacji, w której do ostatniego weekendu trwały walki, a życie było nieustannie zagrożone. Pomoc humanitarna, czyli żywność, leki, dostęp do wody jest jednym z głównych tematów ostatnich miesięcy. Znaczna część ludności dotknęła głód. Według różnych źródeł, w tym ONZ, odnotowano przy-

padki śmierci z głodu, wynikające z blokady i zatrzymania pomocy humanitarnej przez stronę izraelską. Mieszkańcy Gazy od lat żyją w stanie permanentnego zagrożenia, zmagają się z traumą, stresem pourazowym, chronicznym niedożywieniem. Dotyczy to zwłaszcza dzieci i młodzieży; wielu z nich dorasta w warunkach, które nie zapewniają prawidłowego rozwoju. Kobiety w ciąży nie mają dostępu

do opieki medycznej ani leków. Każdy z mieszkańców tej enklawy potrzebuje dziś, w jakimś zakresie, pomocy medycznej. To wszystko sprawia, że skutki humanitarne tego konfliktu są dramatyczne i widoczne gołym okiem.

Po tylu miesiącach bombardowań Gazę da się odbudować?

Da się, choć będzie to wymagało ogromnych nakładów sił, środków i czasu. Brutalnie mó-

wiąć, wszystko można odgruzować i postawić na nowo. Ale diabeł tkwi w szczegółach. Pytanie: kto to robi, kto weźmie za to odpowiedzialność i kto będzie rządził w Strefie Gazy po wojnie? To kwestie czysto polityczne. Nie można też zapominać, że odbudowa oznacza olbrzymie pieniądze, a więc pojawia się wiele podmiotów chętnych, by w tym uczestniczyć. Można się spodziewać zaangażowania firm egipskich, tureckich czy katarskich. Skala prac będzie gigantyczna, od odgruzowania i odbudowy infrastruktury po zapewnienie minimalnych warunków życia dla tych, którzy tam zostali. Trzeba pamiętać, że mówimy o ludności, która nie została ewakuowana i będzie musiała tam funkcjonować mimo zniszczeń. Myślę, że to są tego rodzaju wyzwania.

Jaki jest plan Donalda Trumpa wobec Izraela i Strefy Gazy? Przyjeżdża jako ten, który nie-sie pokój, czy ten, który pokazuje siłę Ameryki? Jego plan rzeczywiście daje szansę na pokój?

W poniedziałek Donald Trump przyjechał do Jerozolimy, gdzie przemawiał w Knesecie. Nie odbył wizyty w Strefie Gazy; nie ma tam obecności żadnej amerykańskiej delegacji. Po krótkim pobycie w Izraelu prezydent udał się do egip-

AKCJA SPECJALNA WYDAWNICTWA CZARNA OWCA

0011394572

Pół miliona sprzedanych egzemplarzy

Dlaczego Polska czeka tylko na Brudnego?

Brutalny, niepokorny, złamany przez życie. Na każde jego śledztwo czekają setki tysięcy czytelników. Jeśli ktoś jeszcze nie wie, kim jest Igor Brudny, powinien się przekonać – choćby po to, by zrozumieć, dlaczego tyle osób nie wyobraża sobie bez niego polskiej literatury gatunkowej.

Dom opleciony bluszczem, kruki na płocie, dziecko, które nie chce wracać do matki.

Tak zaczyna się Fetysz. To prolog, w którym Piotrowski pokazuje, skąd bierze się zło – z traum, których nie da się przepracować, z dzieciństwa, które zostawia blizny na całe życie.

Igor Brudny wie o tym najlepiej. Dorastał w sierocińcu, gdzie przemoc była codziennością, a milczenie – jedyną strategią przetrwania. Dziś nosi policyjną odznakę i pracuje w Zielonej Górze. Miasto pachnie winem, bo trwa Winobranie. Na rynku gwar, dzieci śmieją się w tłumie, karuzele grają wesołe melodie, a za ledwie kilka ulic dalej, w piwnicy pełnej szczurów i stęchlizny, ktoś właśnie torturuje kobietę...

Każde kolejne odkrycie otwiera stare rany

W Fetyszu Brudny staje wobec najcięższego śledztwa w swojej karierze. Kobieta ginie w sposób tak brutalny, że wytrąca to z równowagi nawet policjantów przyzwyczajonych do przemocy. Brudny – odsunięty i skreślony

przez przełożonych – wkracza w dochodzenie, bo wie, że jeśli teraz odpuści, nie będzie już odwrotu. To śledztwo, które musi doprowadzić do końca, nawet jeśli oznacza to zejście na samo dno.

Trop prowadzi do grupy mężczyzn, którzy żyją w świecie pornografii i forów pełnych nienawiści. Wśród nich jest Paweł Baszta – wychowanek tego samego sierocińca co Brudny. Sprawa szybko staje się osobista.

Piotrowski buduje z tej historii nie tylko kryminał, ale także komentarz społeczny. Pisze o mężczyznach, którzy nie odnajdują się w świecie równouprawnienia, o kobietach, które płacą za to najwyższą cenę, i o przemocy, która przenika z internetu do rzeczywistości. Fetysz mierzy się z jednym z najgroźniejszych zjawisk współczesności – środowiskiem incel. Autor nie pokazuje ich jak internetowej ciekawostki, ale jak realne zagrożenie. To ludzie z sąsiedztwa – synowie, koledzy z pracy, ci, którzy za zamkniętymi drzwiami zamieniają frustrację w nienawiść. I w przemoc.

Najciemniejsza odsłona serii

To dlatego Fetysz ma w sobie szczególną siłę. Jest najciemniejszy, najbardziej poruszający. Piotrowski nie oszczędza czytelnika – od pierwszych stron prowadzi go w miejscę, gdzie strach pachnie wilgocią i zgnilizną. Każda scena jest intensywna, pełna napięcia i emocji.

Fenomen Brudnego polega na tym, że jego historie wciągają jak narkotyk. Nie da się ich czytać „po trochu”. Każdy rozdział zostaje w głowie, każdy dialog coś odsłania. To literatura, która nie daje spokoju – emocjonalna, gęsta, niepokojąca.

Brudny to bohater, którego nie da się zaszukawać. Twardy, ale nie pozbawiony empatii. Zniszczony, ale nie złamany. W jego historii odbija się to, co najbardziej ludzkie – słabość, gniew, potrzeba sprawiedliwości. Może dlatego właśnie czytelnicy czekają na każdą nową część serii jak na spotkanie z kimś bliskim, choć niebezpiecznym.

Fenomen, który wymyka się gatunkowi

Piotrowski od lat udowadnia, że literatura gatunkowa może być nie tylko emocjonująca, ale i ważna. Jego książki mają tempo thrillera, ale pod tą warstwą czai się głęboka refleksja o współczesnym świecie – o kryzysie męskości, przemocy, samotności i potrzebie sensu. W Fetyszu autor wraca do tego, co jest jego znakiem rozpoznawczym: napięcia między surowością a empatią, chłodnym śledztwem a emocjonalnym dramatem. Widać, że Piotrowski dojrzeł wraz z Brudnym – każdy tom serii jest nie tylko kolejnym etapem śledztwa, ale i psychologiczną podróżą w głąb człowieka, który wciąż próbuje uwierzyć, że mimo wszystkiego, co widział, świat może mieć jeszcze jakiś porządek. Jedno jest pewne – Brudny nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. A każdy, kto sięgnie po Fetysz, natychmiast zrozumie, dlaczego nie zamierza milczeć. I dlaczego dziś to właśnie on jest najpopularniejszym gliną w Polsce.



skiego Szarm el-Szejka, na szczyt pokojowy z udziałem przywódców regionu. Początkowo zapowiadano obecność premiera Benjamina Netanjahu, ale zdementowano tę informację. Ameryka, czy tego chce, czy nie, zawsze była stroną tego konfliktu. Najczęściej zresztą chciała nią być, bo w ten sposób się pozycjonowała. Stany Zjednoczone są dziś siłą sprawczą stojącą za obecnym rozejmem. Waszyngton de facto przymusił obie strony, Netanjahu i Hamas, do przyjęcia warunków wstępnego porozumienia. Trump zainwestował w to duży kapitał polityczny i zapewne będzie chciał to w jakiś sposób wykorzystać. Jak wiemy, w polityce Trumpa nie ma darmowych lunchów. Wiele mówiło się o tym, że Trump liczy, iż ewentualne porozumienie pokojowe przyniesie mu Pokojową Nagrodę Nobla. W tym roku nagrodę otrzymał jednak ktoś inny, ale w przyszłym roku znów będzie okazją, więc prawdopodobnie, że temat izraelsko-palestyński utrzyma jego uwagę. Pojawiały się też głosy, że po spektakularnym, telewizyjnie pokazanym uwolnieniu zakładników i triumfalnym wystąpieniu w meczecie Al-Aksa Trump zapożyczył swoje bieżące potrzeby polityczne i wizerunkowe. Czy będzie kontynuował długofa-



FOT. PAP/PEPA

Michał Wojnarowicz: Część ludzi stara się wrócić do swoich domów albo po prostu do miejsc, w których te domy kiedyś stały. Mówimy o prawie dwóch milionach osób na terenie zniszczonym wojną

lowe działania pokojowe, to dopiero się okaże. Na razie jego rola w tym procesie jest bardzo istotna.

Czy prezydent Trump rzeczywiście daje szansę na pokój?

Mówiąc wprost, daje, choć to bardzo długa i trudna droga. Najpierw trzeba doprecyzować, co rozumiemy przez pokój. Plan Trumpa w swojej pierwszej fazie ma doprowadzić do trwałego zawieszenia broni i zakończenia działań wojennych w Strefie Gazy. Kolejne etapy mają prowadzić

do politycznego rozwiązania, które dla Hamasu jest, delikatnie mówiąc, mało korzystne.

Hamas ma złożyć broń i się rozbroić. Czy to w ogóle realne?

Mało realne, choć nie niemożliwe. W ostatnich tygodniach Hamas składał różne propozycje dotyczące częściowego rozbrojenia; między innymi deklarował gotowość oddania broni ofensywnej, czyli rakiet i ciężkiego uzbrojenia. Chciał jednak zachować broń krótką, karabiny, pistolety, wszystko, co po-

zwalałoby utrzymać pewien potencjał militarny. Rozważano też pomysł przekazania części arsenału do magazynów pod międzynarodową kontrolę, ONZ lub państwa arabskie. Takie warianty pojawiały się w rozmowach kuluarowych. Jednak pełne rozbrojenie i demobilizacja, nawet przy gwarancjach amnestii, oznaczałyby dla Hamasu de facto polityczną klęskę. Utraciłby kontrolę nad terytorium, które przez lata stanowiło ich macecznik i źródło wpływów. Straciłby także znaczenie w re-

gionie. Dlatego trudno sobie wyobrazić, by zgodzili się na całkowite rozbrojenie. To jest najtrudniejszy punkt tego planu. Z drugiej strony, plan Trumpa zakłada, że jeśli Hamas będzie go kontestował, część jego zapisów może zostać wdrożona jednostronnie w tych częściach Strefy Gazy, które są już poza kontrolą Hamasu. Sam Trump dawał też Izraelowi zielone światło na wznowienie działań zbrojnych, gdyby Hamas odrzucił warunki porozumienia. Ale pytanie, czy którykolwiek ze stron rzeczywiście zdecyduje się wrócić do wojny. Dla Trumpa, z punktu widzenia wizerunku, nie byłaby to dobra decyzja. Podobnie dla Netanjahu, który także jest pod presją opinii publicznej. Wydaje się więc, że przynajmniej na razie obaj będą próbować utrzymać tę retorykę, w rozumieniu Trumpa dość swoistą, ale jednak pokój. Jeśli uda się utrzymać zawieszenie broni i zakończyć działania wojenne w Gazie, może to otworzyć drogę do dalszych rozmów o rozwiązaniu całościowym konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Choć trzeba powiedzieć jasno, że dopóki władzę w Izraelu sprawuje Netanjahu, a po stronie palestyńskiej utrzymują się głębokie podziały, trudno oczekiwać przełomu. Z drugiej strony, rośnie presja ze strony społeczno-

ści międzynarodowej, Stanów Zjednoczonych, Egiptu, Kataru, Unii Europejskiej, by ten kryzys nie został zmarnowany, jak to określają dyplomaci. Skoro doszło do tak wielkiej tragedii, to być może właśnie teraz jest moment, by zacząć rozmowy o praktycznych, politycznych rozwiązaniach.

Tylko czy mieszkańcy Gazy wierzą jeszcze w jakiekolwiek plany pokojowe? Tyle razy im ten pokój obiecywano, a kończyło się kolejną wojną.

A druga rzecz – co właściwie oznacza zniszczenie Hamasu? Czy to nie będzie równoznaczne ze zniszczeniem całego społeczeństwa Gazy?

Nie, całego społeczeństwa na pewno nie. Hamas jest tylko częścią struktury politycznej i społecznej Gazy. Trzeba pamiętać, że jeszcze przed 7 października poparcie dla Hamasu wśród Palestyńczyków nie było powszechne, według sondaży wynosiło około jednej trzeciej, a więc mniej niż połowę społeczeństwa. Co ciekawe, największe poparcie Hamas miał nie w samej Gazie, ale na Zachodnim Brzegu, tam, gdzie jego obecność była najmniejsza. Ostatnie miesiące pokazały jednak, że wojna z Hamasem oznacza przede wszystkim cierpienie ludności cywilnej, tej niezwiązanej z żadną stroną konfliktu. Strefa Gazy to teren

MATERIAL INFORMACYJNY NASK

EZD RP jako fundament cyfrowej administracji

0011378236



Długie i kosztowne procedury urzędowe. Tony papieru i wielkie archiwa z dokumentami. Tylko jedna trzecia jednostek administracji publicznej korzysta z systemów do elektronicznego zarządzania dokumentacją (EZD). To może się zmienić, a sprawy urzędowe staną się łatwe do załatwienia – bo niezbędne informacje będą w chmurze. Teraz podmioty publiczne mają szansę na wsparcie w korzystaniu z EZD RP – systemu opracowanego i wdrażanego przez NASK we współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji.



EZD RP elektroniczne zarządzanie dokumentacją jest dostępne dla wszystkich podmiotów – od najmniejszych, takich jak przedszkola czy biblioteki, po największe – jak ministerstwa czy NIK.

Czym jest EZD RP?

System EZD RP umożliwiałby urzędnikom i obywatelom sprawniejsze i łatwiejsze obsługiwanie spraw. Mniej sytuacji związanych z szukaniem dokumentów, mniej teczek aktowych, mniej papieru w archiwach. Znika też problem przestojów np. z powodu choroby czy urlopu pracownika – wskazany urzędnik ma dostęp do niezbędnych danych w dowolnym momencie.

EZD RP jest następcą istniejącego rozwiązania EZD PUW. Nowy system umożliwi:

- obsługę cyfrowej kancelarii,
- wyszukiwanie, rejestrację i dekretację dokumentów,

- zarządzanie informacją oraz sprawami i zadaniami,
- generowanie powiadomień i przypomnień
- przygotowanie materiałów do archiwum,
- integrację z ePUAP i usługą e-Doręczeń.

Dzięki integracji z ePUAP i e-Doręczeniami, wszystkie informacje będą znajdować się w jednym miejscu.

Jak mówi Mariusz Madejczyk, zastępca dyrektora NASK: - EZD RP jest także skutecznym narzędziem dla kierowników jednostki. Nasze doświadczenie pokazuje, że urzędy, które wdrożyły EZD, funkcjonują sprawniej, a urzędnicy mają większe poczucie odpowiedzialności za zadania, które im powierzono.

Wartość strategiczna i wyzwania

EZD RP to coś więcej niż system do elektronicznego obiegu dokumentów. Prze-

chowywanie danych w chmurze rządowej zapewnia bezpieczeństwo przetwarzanych informacji. Wspólny system eliminuje rozproszenie technologiczne i umożliwia centralne zarządzanie aktualizacjami. Obniża to koszty i ryzyko operacyjne.

Jednym z wyzwań pozostaje zmiana kultury organizacyjnej. Urzędnicy – przy wsparciu NASK – będą uczyć się pracy na dokumentach cyfrowych. Po wielu latach spędzonych na wypełnianiu papierowych dokumentów, to proces, który stanowi wyzwanie, ale jest całkowicie realny.

Szkolenia, które są niezbędnym elementem wdrażania EZD RP, pozwolą na oswajanie się z systemem. Program szkoleń merytorycznych i technicznych finansowanych ze środków KPO obejmuje 75 tys. użytkowników. Każdy z nich będzie gotowy do pracy w nowym modelu – elektronicznego zarządzania dokumentacją.

Zakres projektu z KPO: skala, użytkownicy, szkolenia

Dzięki środkom z Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększa-

nia Odporności, aplikacja EZD RP jest dostępna w środowisku chmurowym (SaaS EZD RP) dla jeszcze większego grona użytkowników. Zniesie to technologiczną barierę dla podmiotów, które dotychczas miały trudności z wdrożeniem systemu EZD w modelu on-premise (instalacja na własnej infrastrukturze).

Projekt finansowany ze środków KPO obejmuje:

- budowę chmurowej infrastruktury SaaS EZD RP dla 300 000 użytkowników,
- wdrożenie systemu w 2 000 jednostkach administracji publicznej,
- przeszkolenie 75 000 użytkowników EZD RP.

EZD RP jest ważnym elementem projektu Strategii Cyfryzacji Państwa realizowanego przez Ministerstwo Cyfryzacji. Już ponad 1500 jednostek korzysta z EZD RP, a kolejnych ponad 1300 instytucji jest w trakcie wdrożenia systemu.

Wygodny model kaskadowy

Jednostki realizujące zadania publiczne, w tym jednostki samorządu terytorialnego,

np. urząd marszałkowski czy urząd miasta, mogą wdrożyć EZD RP w formule kaskadowej. Stają się wtedy Podmiotem Wiodącym, a wskazani pracownicy tworzą Zespoły Wdrożeniowe. Następnie – przy wsparciu NASK – poznają możliwości EZD RP i szkolą się, jak efektywnie korzystać z elektronicznego zarządzania dokumentacją. Dzięki temu osoby z Zespołu Wdrożeniowego zdobywają kompetencje, które pozwolą na wsparcie innych podmiotów we wdrażaniu EZD RP.

Ze wsparcia wdrożeniowego i merytorycznego NASK mogą korzystać instytucje, które nie wykorzystują obecnie innego systemu klasy EZD, nie prowadzą działalności gospodarczej w rozumieniu przepisów prawa Unii Europejskiej i spełniają wymogi merytoryczne i techniczne opisane w dokumencie.

Upowszechnianie EZD RP to strategiczna inwestycja w nowoczesną administrację publiczną.

Więcej informacji na ten temat można znaleźć na stronie: ezdrp.gov.pl/kpo.

Od 1 stycznia 2028 roku wszystkie jednostki administracji publicznej w Polsce będą zobowiązane do stosowania systemów klasy EZD. Oznacza to w dużej mierze pożegnanie papierowego obiegu dokumentów. Sprawy urzędowe będą załatwiane elektronicznie, a ważne informacje będą przetwarzane i przechowywane w chmurze.

W centrum tej transformacji znajduje się projekt EZD RP – ważny element Strategii Cyfryzacji Państwa. To system wytwarzany, wdrażany i utrzymywany przez NASK we współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji. Dzięki

gęsto zabudowany, z rozbudowaną siecią tuneli i infrastrukturą podziemną, a to utrudniało działania izraelskiej armii. W praktyce walka z miejską partyzantką może trwać latami, będzie pochłaniać ogromne zasoby i przynosić olbrzymie straty wśród ludności cywilnej. Prędzej czy później, niezależnie od wyniku militarnych operacji, konieczne będzie jakieś rozwiązanie polityczne. Goniąc za każdym członkiem Hamasu jest po prostu nierealna. Organizacja wciąż dysponuje znacznymi siłami i kontrolą nad częścią Gazy. Już po zawieszeniu broni pojawiły się informacje, że ok. 7 tys. członków grupy stara się odzyskać wcześniejsze utracone wpływy. Nie można zapominać, że oprócz Hamasu działają tam inne ugrupowania zbrojne, terrorystyczne. Jeśli wojna miałaby wybuchnąć na nowo, mogłaby potrwać jeszcze bardzo długo.

Jak na tę sytuację reagują dziś państwa arabskie? Czy są zjednoczone w swoich działaniach?
Raczej nie, ale łączy je jedno: większości zależy na stabilizacji regionu. Różnią się jedynie w stopniu zaangażowania. Egipt i Katar odegrały ważną rolę mediacyjną, bo to przez ich terytoria i kanały dyplomatyczne przechodziła większość rozmów o zawieszeniu broni

i wymianie zakładników. Oba państwa będą też chciały ten sukces politycznie zdyskontować. Widać też, że kraje arabskie mają dziś bezpośredni dostęp do ucha Donalda Trumpa. W opublikowanym przez niego dwudziestopunktowym planie pokojowym znajdują się odniesienia do saudyjsko-francuskiego pomysłu dwupaństwa, czyli uznania prawa Palestyńczyków do własnego państwa obok Izraela. Dla wielu stolic arabskich to sygnał, że ich głos został wreszcie wzięty pod uwagę. Pamiętamy, ile frontów otworzył atak Hamasu i jak szeroko rozlał się ten konflikt. Mieliliśmy starcia na granicy z Libanem i ostrzały z Hezbollahu; dziś obowiązuje tam kruche zawieszenie broni, choć widać pewne pozytywne zmiany w polityce wewnętrznej Libanu. Mamy też Syrię, gdzie odżył konflikt izraelsko-syryjski i gdzie działania Izraela doprowadziły do dalszej destabilizacji sytuacji w regionie. Doszło również do eskalacji napię-

cia między Izraelem a Iranem, nazwijmy to wprost: była to de facto wojna izraelsko-irańska, która postawiła cały Bliski Wschód w stan najwyższej gotowości. Nie można też zapominać o aspekcie jemeńskim, o atakach Huti na statki handlowe i okręty na Morzu Czerwonym, które zakłóciły żeglugę w cieśninie Bab al-Man-dab i negatywnie wpłynęły na gospodarkę regionu. Dlatego, jeśli konflikt w Strefie Gazy rzeczywiście się zakończy, a to on napędzał wszystkie te pozostałe fronty, to pojawi się realna szansa na stabilizację. Państwom arabskim bardzo na tym zależy, dlatego dziś można powiedzieć, że z ostrożnym optymizmem obserwują ten rozwój wydarzeń. Oczywiście każde z nich chce też zagwarantować sobie udział w procesie odbudowy Gazy. Toczą się rozmowy o utworzeniu sił rozjemczych, które miałyby się składać z żołnierzy państw arabskich. Ale chodzi tu również o koszty odbudowy,

a kolejka do pomocy finansowej i inwestycji w regionie jest już długa: Liban, Syria, Jemen, a teraz Strefa Gazy.

Jak może wyglądać przyszłość Gazy? Kto miałby ją odbudować i kto nią zarządzać?
Według planu Trumpa w Gazie miałyby powstać lokalne ciała administracyjne technokratyczne, złożone z Palestyńczyków niezwiązanych z Hamasem. Nad nim miałyby funkcjonować międzynarodowa „rada pokoju”, która wyznaczałaby kierunki odbudowy i monitorowała sytuację. Całość byłaby objęta amerykańskim nadzorem, z aktywnym udziałem państw regionu. Założenie jest takie, że Hamas nie utrzyma się u władzy. Żadne państwo czy organizacja międzynarodowa nie podejmie się bowiem zarządzania Gazą, jeśli za plecami będzie miała zbrojny, radykalny ruch. Gaza to bardzo mały obszar; funkcjonowanie tam jakiegokolwiek cywilnej administracji będzie ogromnym wyzwaniem. Izrael, co istotne, nie zamierza całkowicie wycofywać się ze Strefy Gazy. Obecność wojsk izraelskich, zwłaszcza w strefach granicznych i przy dostępie do morza, ma być utrzymana. Warunki ewentualnego wycofania pozostają niedookreślone. A to daje Netanjahu dużą elastyczność i możliwość utrzymania kon-

troli nad sytuacją. Z kolei Autonomia Palestyńska, która formalnie reprezentuje Palestyńczyków, chciałaby przejąć odpowiedzialność za administrację w Gazie, ale Izrael sprzeciwia się jej powrotowi w tej roli. W dodatku sama Autonomia jest osłabiona wewnętrznie i wymaga poważnych reform. To również zostało ujęte w planie Trumpa. W efekcie więc mamy wiele niewiadomych. Przyszłość Gazy nie jest tylko w rękach lokalnych sił. Zależy ona przede wszystkim od tego, czy społeczność międzynarodowa będzie w stanie utrzymać jedność i rzeczywiście wymusić polityczne rozwiązanie.

Jak pan sądzi - komu dzisiaj świat bardziej wspiera: Izraelczykom czy Palestyńczykom?
Palestyńczykom.

To współczucie nie stało się już polityczne?
Zawsze było polityczne. W takich sytuacjach trudno o czyste emocje; każdy kieruje się własną wrażliwością i doświadczeniem. Dla jednych bliższa będzie Ukraina, dla innych Palestyna, jeszcze inni zwrócą uwagę na los Ujgurów. Współczucie w XXI wieku niemal zawsze ma wymiar polityczny, bo staje się częścią szerszej narracji; tej, którą wspierają media, rządy czy opinia publiczna.

Kto więc ponosi odpowiedzialność za to, że Palestyna dziś wygląda jak ruina cywilizacji?
Trudno na to odpowiedzieć. Odpowiedzialność rozkłada się na kilka stron. Z jednej strony jest Izrael, który wybrał takie, a nie inne metody walki z Hamasem, przynoszące ogromne cierpienia ludności cywilnej. Z drugiej sam Hamas, który ten konflikt wywołał, dokonując brutalnego ataku 7 października, pociągając tym samym za sobą tragiczne konsekwencje dla całej Gazy. Odpowiedzialność i winą mieszają się tu w sposób niemal nierozdzielny. Można powiedzieć, że w tej wojnie nie ma zwycięzców są tylko przegrani. Każda ze stron coś straciła, a zysk, jeśli w ogóle istnieje, to jest pozorny. Na pytanie „kto wygrał”, odpowiedź brzmi, że chyba nikt.

Na koniec chciałabym pana zapytać o siebie - po tylu latach analizowania tego konfliktu, czy wierzy pan jeszcze w pokój?
Pokój jest możliwy. Ale wymaga decyzji ludzi, którzy będą gotowi zapłacić za niego realną cenę - polityczną, społeczną, czasem także osobistą.

A czy pan widzi taką gotowość teraz?
Nie widzę.

AUTOREKLAMA 0011412559

Jesienne spotkanie mazowieckich seniorów po raz kolejny w Warszawie

28 października w godzinach 10.00-15.00 w Domu Kultury KADR przy ul. Rzymowskiego 32 w Warszawie odbędzie się VI Forum Seniora. Dla seniorów chcących wziąć udział w wydarzeniu przygotowaliśmy 250 darmowych miejsc.

Otwartość na drugiego człowieka, aktywność i ciekawość świata to recepta na optymizm oraz dobrą kondycję w każdym wieku.

W programie spotkania nie zabraknie **nowinek z dziedziny zdrowia i dietytyki, inspirujących kierunków podróży, spotkania z dobrą książką** oraz **informacji na temat akcji #wspólniebezpieczni**.

Marina Hulia wraz z reżyserem Bartoszem Wróblewskim opowiedzą o mocy czynienia dobra i zaprezentują pełen wzruszeń oraz refleksji film dokumentalny z cyklu „Migranci”.

W przerwach między wykładami na stoiskach dostępni będą **eksperti z PGNiG OD Grupa ORLEN**, u których będzie można skonsultować kwestie **bezpieczeństwa usług elektronicznych**.

Żabka Polska, partner główny wydarzenia, po raz kolejny zadba o smaczne i pożywne kanapki oraz przekąski dla uczestników Forum. Tylko w Żabce dostępne są produkty z oznaczeniem **Porcja Dobrego!** – odpowiednio zbilansowane i pełnowartościowe propozycje na każ-

dą porę dnia, stworzone z myślą o wygodnym i świadomym odżywianiu. A o tym, jak ważne jest odpowiednie nawodnienie organizmu, podczas wystąpienia, opowie dietetyk kliniczny i doradca ds. żywienia Grupy Żabka – **Agnieszka Piskala-Topczewska**.

Dr n. med. Michał Sutkowski, specjalista chorób wewnętrznych i medycyny rodzinnej, wygłosi wykład poświęcony **RSV – wirusowi, który jest szczególnie niebezpieczny dla osób po 60. roku życia** oraz jak **można się przed nim chronić**.

Dodatkowo na Forum pojawi się **bus ze specjalistycznym sprzętem do badania słuchu**.

JAK ZAPISAĆ SIĘ NA VI EDYCJĘ FORUM SENIORA W WARSZAWIE?

Zapisy na wydarzenie, które cieszy się ogromnym zainteresowaniem mazowieckich seniorów, **rozpoczęły się 8 października**. Zapisy odbywają się **telefonicznie** – wystarczy zadzwonić pod numer **517 365 819** od poniedziałku do piątku w godz. 9.30-15.30.



ORGANIZATORZY

PARTNER GŁÓWNY

EKSPERT WSPIERAJĄCY

PARTNERZY WSPIERAJĄCY

PARTNERZY

Właścicielowi psów grozi dożywocie

O tej sprawie od kilku dni mówi cała Polska. Przy MOP-ie Zielona Góra Racula trzy psy śmiertelnie pogryzły, a właściwie rozszarpały 46-letniego kierowcę TIR-a z Puław

Eliza Gniewek-Juszczak, Michał Korn

Właściciel zwierząt został zatrzymany. Mężczyzna był poza Zieloną Górą, ale nie ukrywał się. Został zatrzymany na 48 godzin. Po tym czasie okaże się, czy zostanie aresztowany. Prokuratura Okręgowa w Zielonej Górze apeluje o kontakt do osób, które wcześniej były poszkodowane przez te same psy, a także świadków, którzy mają wiedzę o niewłaściwym traktowaniu tych zwierząt bądź niewłaściwym ich zabezpieczeniu.

To mogło zdarzyć się już wcześniej

Mężczyzna jest podejrzany o: „popelnienie czynu polegającego na spowodowaniu ciężkiego uszczerbku na zdrowiu w postaci choroby realnie zagrażającej życiu, w wyniku której pokrzywdzony zmarł”.

- Ta kwalifikacja prawna jest rozważana w związku z tymi wszystkimi okolicznościami, które miały miejsce wcześniej.

Zdarzały się przypadki, że te psy nie były odpowiednio zabezpieczone, wielokrotnie uciekały z posesji - powiedziała prok. Ewa Antonowicz, rzecznik prasowa Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze. Przyznała też, że z doniesień medialnych i komentarzy w mediach społecznościowych wynika, że takich przypadków było więcej.

Był pozew cywilny

Do tej pory w prokuraturze było tylko jedno postępowanie dotyczące osoby, która została dotkliwie pogryziona (mężczyzna miał stracić uszy i palce). Według informacji, które przedstawił prokuratorom właściciel psów, ten mężczyzna miał się włamać na teren strzelnicy.

Na sugestie dziennikarzy, że to nie było wtargnięcie, a sprawa miała być wyciszona, prokurator Ewa Antonowicz poinformowała, że postępowanie zostało podjęte i jest w toku. - Będziemy to analizować raz jeszcze. Z poprzedniego materiału dowodo-

wego wynikało, że poszkodowany wtargnął na posesję i został zaatakowany przez psy stróżujące - wyjaśnia prokurator. Czy tak było rzeczywiście? To zostanie raz jeszcze sprawdzone. Prokuratorzy wiedzą też, że poszkodowaną była także kobieta, która wniosła pozew cywilny. Nie mają informacji, żeby miały miejsce inne zgłoszenia od potencjalnych poszkodowanych.

Kara może być bolesna

Wiadomo też, że kilka razy pracownicy schroniska łapali te psy biegające po okolicy bez nadzoru. Rozpoznawali je, przejeżdżając na wezwania mieszkańców. - Dochodziło do nieprzyjemnych sytuacji, kiedy właściciel nie chciał zapłacić za odbiór tych zwierząt - przypomina rzecznik.

To wszystko wystarcza śledczym, żeby twierdzić, że właściciel wiedział, że one uciekają i mogą zaatakować po raz kolejny, więc powinien je zabezpieczyć. - Mógł przewidzieć, że ko-



Okoliczni mieszkańcy już dawno mówili, że tu może dojść do tragedii. Skarżyli się na działalność strzelnicy i jej właściciela

lejny raz zaatakują, i nic w tym kierunku nie zrobił. To trzeba powiedzieć wprost, że te zwierzęta nie były odpowiednio zabezpieczone. A niestety skutki są najtragiczniejsze, jakie mogą być, śmierć człowieka - mówi i dodaje, że wątpliwości organów ścigania budzą też warunki, w jakich bytowały psy.

Zwierzęta zostały umieszczone w domu tymczasowym. Śledczy chcą dokładnie ustalić ich rasę, stan fizyczny i psychiczny, a także ocenić warunki, w jakich były trzymane. Jest prawdopodobne, że psy są mieszanką owczarka belgijskiego i owczarka niemieckiego. Biegła kynolog wstępnie wskazała śledczym, że proporcje budowy ciała psów są nienaturalne, mają dużą głowę i są długie.

Wszczęte postępowanie zostało przejęte z Prokuratury Rejonowej przez Okręgową. Na to czekali bliscy pana Marcina. Obawiali się, że wobec milczenia służb od dnia tragedii, sprawa zostanie zamieciona. - To bardzo

ważne, żeby ta sprawa nabrała obrotu, żeby nie została zamieciona pod dywan. Właściciel psów musi ponieść odpowiedzialność - mówił nam przyjaciel zmarłego mężczyzny.

Dotychczasowe czynności przeprowadziła Komenda Miejska Policji w Zielonej Górze ściśle pod nadzorem prokuratury, dalszymi działaniami zajmą się funkcjonariusze komendy wojewódzkiej. - Mówimy o byłym policjancie, z którym większość kadry pracującej nie miała styczności. Ale, aby zagwarantować obiektywizm w takim pocuciu społecznym, uspokoić nastroje społeczne, podjęto decyzję o przejęciu sprawy przez organy nadzórne - tłumaczy prok. Antonowicz.

- Aby w opinii publicznej wyeliminować wszelkie wątpliwości, co do bezstronności, obiektywizmu te czynności, które będą zlecane, będą poddawane wnikliwej analizie przez prokuraturę. Chcemy wyjaśnić wszelkie okoliczności, tak aby opinia

publiczna, a przede wszystkim pokrzywdzeni, byli na bieżąco informowani o tym co robią organa ścigania - podkreśliła prokurator.

Grozi mu kara od pięciu lat pozbawienia wolności do dożywocia.

Miejsce budziło grozę

W czwartek yliśmy na miejscu, gdzie doszło do tragedii. Nic tam się nie działo. Teren nie jest zabezpieczony przez policję, nie ma choćby taśmy.

Co ciekawe, żaden drogowy zjazd od strony MOP-u, a także od strony miejscowości Racula nie prowadzi w to miejsce i nie ma informacji, że znajduje się tu strzelnica. Ale okoliczni mieszkańcy już dawno mówili, że tu może dojść do tragedii. Skarżyli się na działalność strzelnicy i jej właściciela. Mówili o hukach, strzałach i wylatujących poza ogrodzenie pociskach. Podkreślali, że okoliczne lasy to raj dla grzybiarzy, którzy nie mają świadomości zagrożenia.

REKLAMA

0011325750



Dyrekcja: Zbigniew Cierniak

ŚLĄSK

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA

Im. Stanisława Hadyny

16 XI

godz. 16.00

PRUSZKÓW

CENTRUM KULTURY I SPORTU

kup bilecik .pl

bil@tyna.pl

eBilet.pl

FOTOkomentarz tygodnia

14
PAŹDZIERNIKA,
EGIPT

W egipskim Szarm el-Szejk podpisano 20-punktowy plan pokojowy. Podpis pod nim złożył m.in. Donald Trump, na samej uroczystości pojawili się przywódcy ponad 20 państw. Na mocy ustaleń Izrael wycofał się z części Strefy Gazy, z kolei Hamas wypuścił przetrzymywanych od 7 października 2023 r. izraelskich zakładników. Zgodnie z ustaleniami teraz powinna nastąpić faza odbudowy Strefy Gazy zniszczonej przez dwa lata walk. Ale Izrael ciągle okupuje ponad 50 proc. terytorium strefy. Od tego, czy się wycofają, zależy powodzenie w realizacji pozostałej części planu

FOT. YOAN VALAT/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

15 PAŹDZIERNIKA, PIOTRKÓW TRYBUNALSKI. Donald Tusk spotkał się z wyborcami z okazji drugiej rocznicy wyborów z 2023 r., które otworzyły drogę do objęcia przez niego fotelu premiera. Co charakterystyczne, nie było wspólnego wystąpienia liderów partii tworzących rząd. Każdy rocznicę upamiętnił oddzielnie



FOT. PAP/LECH MUSZYŃSKI

14 PAŹDZIERNIKA, BIAŁA GÓRA. Wojsko z Polski, Holandii, Niemiec i Francji ćwiczy forsowanie Odry. W Brukseli ministrowie obrony krajów NATO zapewnili, że bezpieczeństwo wschodniej flanki to priorytet



FOT. PAP/EPA/MOHAMMED BADRA

14 PAŹDZIERNIKA, FRANCJA. Prezydent Macron walczy o przetrwanie popieranego przez siebie rządu. Francuzi coraz częściej wychodzą na ulice. Protestują m.in. przeciw umowie handlowej Mercosur

Atutem naszego kraju jest fakt, że na całym jego terenie znajduje się wiele miast stosunkowo równomiernie rozłożonych – to nas wyróżnia na tle wielu państw europejskich. W naszej strategii wyznaczamy sieć miast kluczową dla utrzymania tej wieloośrodkowości. Chcemy utrzymać system, w którym większość obywateli ma w swoim zasięgu jakieś w miarę sprawnie działające miasto. Centrum jego życia

Jakub Sawulski, koordynator prac nad „Strategią Rozwoju Polski do 2035 r.” z Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej

Arlena Sokalska

GLOSA O (NIE)DYSKRETNYM
KASŁANIU

Podobno, podkreślam podobno (tak twierdzi sztuczna inteligencja), statystyczny Polak chodzi do filharmonii raz na 150 lat. Według oficjalnych danych, czyli raportu Narodowego Centrum Kultury opublikowanego w styczniu 2025, do opery i filharmonii chodzi regularnie ok. 3-4 proc. Polaków, a ok. 80 proc. nie było w nich nigdy, ale... co pięć lat w Polsce odbywa się Konkurs Chopinowski.

A jak napisał twórca „Gry o tron” George R.R. Martin, wszystko to, co słyszymy przed „ale” jest nieważne.

Mamy więc (wyjątkowo po czterech latach, bo poprzedni, który miał się odbyć w 2020 r. został przesunięty ze względu na pandemię) kolejny Konkurs Chopinowski, wzbudzający niesłychane emocje nie tylko wśród melomanów. W sieci toczą się dyskusje na temat tego, czy pianiści z Azji są w stanie zagrać tak, by w muzyce wciąż obecny był „duch Chopina”. Niektórzy przekonują, że tylko „polska dusza” potrafi dobrze zinterpretować utwory naszego wielkiego kompozytora. Inni twierdzą, że gdyby tak było, Brahmsa grać mogliby tylko Niemcy, zaś kompozycje Liszta jednie Węgrzy.

A przy okazji – jak to w ostatnich dwóch edycjach konkursu było – rozgrywa się niesłychana tzw. imba o kasłaniu. W mediach społecznościowych wrze, że ludzie przychodzą do filharmonii, by kasłać, chrząkać i ogólnie wydawać odgłosy w przerwach między utworami. Nie dość, że przeszkadzają pianistom, to jeszcze mogą ich zarazić jakimś wstrętnym wirusem!

Czy podobne oburzenie wybuchło wcześniej? Nie wiadomo, bo nie było wtedy jeszcze mediów społecznościowych, a eksperci dziwnym trafem nie podejmują tego tematu. Niektórym mediom mogłabym podpowiedzieć, że już można zacząć publikować materiały o kasłaniu podczas koncertów kolejnego Konkursu Chopinowskiego w 2030 r. Bo w przerwach między utworami recitalu fortepianowego w filharmonii ludzie kasłali, kasłają i będą kasłać.

Nawet nie dlatego, że są chorzy, przeziębieni czy zakatarzeni, tylko z powodu fizjologii ludzkiego organizmu, która sprawia, że od czasu do czasu musimy kaszlnąć czy chrząknąć. Na podobnej zasadzie mrugamy (na szczęście bezgłośnie) powiekami.

Nie będę udawać, że chodzę na koncerty do filharmonii kilka razy w tygodniu czy nawet w każdym miesiącu. Czy zdarzało mi się jednak popijać dyskretnie łyk wody z małej butelki ukrytej w torebce? Czy zdarzało mi się przyjmować środki farmakologiczne zapobiegające kasłaniu? Czy zdarzyło mi się walczyć z nieodpartą potrzebą kichnięcia, gdy jakaś pani siedząca nieopodal intensywnie złała się perfumami, w których jakiś składnik działał na mnie alergicznie? Na wszystkie te pytania mam odpowiedź twierdzącą.

Ustalmy więc raz na zawsze: sala w Filharmonii Warszawskiej, gromadząca około tysiąca widzów, zawsze będzie w przerwach utworów fortepianowych wypełniona pokasływaniem. I to wcale nie jest brak szacunku dla muzyków. Tego szukałabym raczej w tych, którzy zapomnieli lub – co gorsza – nie raczyli wyłączyć bądź wyciszyć swoich telefonów komórkowych, co realnie przeszkadza pianistom.

A co z internetowymi kasłobobami?

Mam dla nich dobrą wiadomość. W następnym etapie konkursu pianiści będą wykonywać koncerty, czyli grać z orkiestrą. Kiedy hukną te wszystkie instrumenty dęte i zabrzmiały kotły, można dyskretnie pokasłać nawet w trakcie utworu.

Do usłyszenia w 2030 roku.

Adam Bula

NA WOJNIE BIEDRY Z LIDLEM
NIE MA PUSTYCH PÓLEK

Wyobraź sobie, że w r a c a s z

z wycieczki na promocję w Lidlu, bo przywykłeś do kupowania 3 kostek masła po 4,99, i w radiu słyszysz reklamę kolesi od Biedronki – tych, którym pamiętasz jeszcze masło po 12 zł. I ci kolesie wrzeszczą do ciebie, że w Polsce jest straszny chaos, drożyzna to dopiero teraz szaleje, a w ogóle w Lidlu zostały już tylko ocet i puste półki.

Czujecie to? No, to już wiecie, dlaczego Tuszkowi nie spada, a prezesowi nie rośnie.

Zgrabnie na język polityki przełożył to Marek Migalski, któremu zdarza się – odwrotnie proporcjonalnie – powiedzieć coś oryginalnego. Na pytanie: dlaczego PO ma nadal tak wysokie poparcie, jak miała 15 października 2023, pomimo tego że nie spełniła większości swoich obietnic wyborczych, Migalski odpowiada: bo ogromna część Polek i Polaków woli, żeby PO nie realizowała swojego programu, niż żeby PiS realizowało swój.

Chodzi o zwykłą pamięć. Bo większość normalistów, którzy jeszcze nie stali się fanatykami jednej ze stron, po prostu musi zauważyć, że w historii dzisiejszej opozycji sporo zgrzyta. I że czasem karne powtarzanie przez polityków PiS i armie ich trolli opozycyjnego przekazu dnia prowadzi do śmieszności. I staje się coraz bardziej przeciwnie skuteczne, jak „wielka” manifestacja PiS przeciwko migracji, której nie ma. Podobnie zresztą jak manifestantów.

Tak stało się też, gdy ktoś tam wymyślił, by z okazji drugiej rocznicy wyborczego zwycięstwa Koalicji 15 X zaatakować Tuska i jego rząd hasłem #dwa lata chaosu. Nie wiem, skąd im się akurat chaos wziął, ale nie jest to chyba dominujące wrażenie wobec „dorobku” tych rządów.

Pal licha chaos. Problem jest w tym, że ktoś tam wymyślił, żeby krytykę Tuska odpalić po bandzie i w zupełnie historycznym tonie, totalnie lekceważąc jakiegokolwiek realia. Dlatego zasypali nas tysiącami komunikatów, w takim mniej więcej stylu, jak w wykonaniu Kazimierza Smolińskiego. Którego to posła PiS od lat cenimy i lubimy, bo nie ma takiej bzdury, której grzech-

nie by nie powtórzył z takim samym uśmiechem na gładkiej buzi. On to robi tak perfekcyjnie, że człowiek niemal jest gotów uwierzyć, że on rzeczywiście jest tak głupi. No szacunek...

Więc u Kazia jedna z długaśnych wyliczanek klęsk i zbrodni Tuska idzie tak:

„CPK? Zniszczyli”

No dobrze, CPK to spory temat i nawet przez moment po wyborach wydawało się, że ruch „Tak dla CPK” będzie przebłyskiem szansy na jakąkolwiek poważną dyskusję o Polsce i jej przyszłości. Szybko oczywiście i liderzy ruchu, i cała sprawa, utonęła w zero-jedynkowym jazgocie, schodząc do poziomu rytualnej nawalanki PiS-PO. No ale że „zniszczyli”? Znaczący łąkę zaorali czy o co chodzi?

„Atom? Skasowali”

– krzyczy dalej poseł PiS. No litości, jak można skasować atom. Można go rozbić, czego nie polecam, przynajmniej na wolnym powietrzu. Choć, jakby Tusk rozbił atom i nic przy tym nie pierdyknęło, to by znaczyło, że w 2 lata zbudował zupełnie niezależnie polski program nuklearny. A przy takim sukcesie to nawet najtwardsi pisowcy i konfiarze musieliby uznać, że odbudował pozycję Polski Jagiellonów i że wracamy do „wielkiej gry”.

CPK i Atom to są dwa z brzegu, naprawdę wielkie tematy dla Polski, ale jak w ogóle można podejść do rozmowy o nich, jak się zaczyna na takim poziomie, jak proponuje Smoliński. Powtarzający tu, niestety, w całości coraz bardziej toporny przekaz swojej partii.

Oczywiście nikt nie lubi zbyt rozgarniętych wyborców, ale poziom głupoty, jaki u swoich odbiorców zakłada ostatnio PiS ze swoim przekazem, robi się już nieco ekstremalny. I przekłada się na sondażowe wyniki tej partii. Tu nie chodzi o Polskę, politykę czy patriotyzm. Po prostu – i chyba jednak na szczęście – pula kompletnych kretynów w naszym społeczeństwie jest skończona i nie jest dominująca. Skazuje to PiS na twardą bazę, która składa się nie z wyborców – kierujących się, owszem, emocjami, ale ciągle w jakimś kontakcie z procesem myślowym, tylko na wyznawców. A tym oczywiście można dać na wiarę wszystko – tylko po co? Jak oni i tak już uwierzyli...

PS.

Ten artykuł przeznaczony jest tylko dla czytelników ogarniających, że mniejsza inflacja nie oznacza, że ceny w sklepach są niższe, tylko że robią się odpowiednio wolniej droższe.

Nie wszystko dowieźliśmy z tego, co obiecaliśmy, koalicja okazała się trudniejsza, niż sądziłem, nie wygraliśmy wyborów prezydenckich. Biorę za to polityczną odpowiedzialność

Sinsay otwiera się w Azerbejdżanie – polskie marki odzieżowe już na 44 rynkach świata

Polska grupa odzieżowa LPP, właściciel marek Sinsay, Reserved, Cropp, House i Mohito, otwiera pierwszy sklep Sinsay w Azerbejdżanie, poszerzając zasięg swojej działalności do 44 rynków. Debiut w Baku jest elementem realizacji największego planu rozwoju w historii spółki. W planach na najbliższe 3 lata polski producent chce zwiększyć swoją sieć sklepów na świecie 2,5-krotnie.



Sinsay wkracza do Baku – ambitne plany rozwoju
Pierwszy azerski salon Sinsay został otwarty w nowo powstałym centrum handlowym Sevinc Mall w Baku. To dopiero początek – do końca roku marka zamierza mieć w Azerbejdżanie około 8 sklepów, głównie w stołecznym Baku, które z populacją ponad 2,3 mln mieszkańców oferuje największy potencjał sprzedażowy i stanowi idealny punkt wyjścia do dalszej ekspansji. Łączna planowana

powierzchnia tych sklepów przekroczy 6 tys. m². Tak dynamiczny start ma umocnić obecność LPP na kaukaskim rynku i wpisać się w długofalową strategię międzynarodowego wzrostu spółki.

Kolejne salony Sinsay w Azerbejdżanie powstaną w zróżnicowanych lokalizacjach – zarówno w dużych galeriach handlowych, jak i przy popularnych ulicach handlowych czy na osiedlach mieszkaniowych. Taka

taktyka wynika ze specyfiki lokalnego rynku – handel detaliczny w Azerbejdżanie wciąż w dużej mierze opiera się na tradycyjnych bazarach i ulicznych punktach sprzedaży, choć rośnie rola nowoczesnych centrów handlowych.

Potencjał młodego rynku Azerbejdżanu

Wejście LPP do Azerbejdżanu jest przemyślanym ruchem, biorąc pod uwagę charakterystykę tego



ryнку. Kraj liczy ponad 10 mln mieszkańców, z czego znaczną część stanowią ludzie młodzi oraz rodziny z dziećmi. To przekłada się na wysoki popyt na odzież dziecięcą i damską oraz akcesoria dla domu – segmenty, w których Sinsay od lat umacnia swoją pozycję rynkową. Sprzyja temu rosnąca zamożność azerskich gospodarstw domowych i zmieniające się nawyki konsumenckie. Prognozy wskazują, że war-

tość lokalnego rynku mody w Azerbejdżanie przekroczy 850 mln USD do 2029 roku, przy średniorocznym tempie wzrostu powyżej 10%. Tak dynamiczny rozwój branży odzieżowej, połączony z młodą strukturą demograficzną, tworzy – zdaniem LPP – naturalne środowisko dla ekspansji marki Sinsay w tym kraju.

– Azerbejdżan to kolejny po Kazachstanie i Uzbekistanie kierunek, który wpi-

suje się w nasz plan rozwoju na perspektywicznych rynkach Azji Centralnej i Kaukazu. Dodatkowo strategiczne położenie między Europą Wschodnią a Azją Zachodnią stwarza doskonałą okazję do rozszerzenia działalności w regionie łączącym te dwie dynamiczne strefy – podkreśla Tomasz Koczara, International Business Director w LPP.

Rozpoczęta ekspansja – określana przez LPP jako największy jak dotąd plan rozwoju – stanowi inwestycję w przyszłość. Jej skuteczne wdrożenie może przełożyć się na podwojenie skali biznesu w ciągu najbliższych kilku lat, co zapowiada sama firma. W perspektywie długoterminowej ugruntowanie obecności LPP na dotychczasowych i nowych rynkach wzmocni globalną pozycję polskiej spółki. Trzeba przyznać, że to też dobra recepta na reklamę polskich marek poza granicami naszego kraju.

Polska firma, międzynarodowy sukces!

**5 MAREK
44 KRAJE
3000 SKLEPÓW**

LPP | RESERVED | CROPP | HOUSE | MOHITO | **sinsay**

SAWULSKI: WAŻNA JEST PRZEDĘ WSZYSTKIM JAKOŚĆ ŻYCIA W POLSCE

Nasza wizja polityki regionalnej jest polityką regionalną szytą na miarę. Ze świadomością, że nie da się robić wszystkiego dla wszystkich - mówi Jakub Sawulski, koordynator prac nad „Strategią Rozwoju Kraju do 2035 r.” z Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej

Agaton Kozimiński

Co rozstrzygnie o przyszłości Polski?

W opracowanej przez nas „Strategii Rozwoju Polski do 2035 r.” diagnozujemy trzy główne wyzwania, które stoją przed Polską. Po pierwsze, kryzys demograficzny. Po drugie, zaostrażająca się globalna konkurencja ekonomiczna, która sprawia, że polskiej gospodarce coraz trudniej będzie się rozwijać. I po trzecie, bezpieczeństwo państwa.

Dlaczego akurat taka kolejność tych wyzwań?

Nie hierarchizujemy ich. Wychodzimy z założenia, że wszystkie trzy są równie ważne.

Czy jednak nie powinno się ich priorytetyzować? Polska w 1936 r. zatwierdziła Czteroletni Plan Inwestycyjny, przewidujący m.in. budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego. Ale w 1939 r. te plany stały się nieaktualne.

Teraz pan sugeruje, że powinniśmy się skupić przede wszystkim na bezpieczeństwie? Ale budowa silnej armii nie jest możliwa bez silnej gospodarki. Na całym świecie produkcja coraz silniej jest powiązana z sektorem obronnym, rozwijane są technologie dual use, podwójnego zastosowania. Choćby drony - są one przydatne w czasach pokoju, ale wykorzystuje je się także na polu walki. To najlepszy przykład, że kwestie bezpieczeństwa i gospodarki nie konkurują ze sobą, lecz się wzajemnie wspierają. Podobnie jest z demografią, która jest kluczowa z punktu widzenia i gospodarki, i bezpieczeństwa.

W opracowanej przez was strategii diagnozujecie kryzys demograficzny w dwóch wymiarach. Pierwszy - gwałtowny spadek liczby narodzin. I drugi - szybki wzrost Polaków w wieku emerytalnym. Jest szansa rozbroić te dwie tykające bomby?

Małe sprostowanie. W strategii nie tyle zwracamy uwagę na wzrost liczby Polaków w wieku emerytalnym, co przede wszystkim szybki wzrost liczby osób w wieku po-

wyżej 75 lat. W ciągu dekady ich liczba wzrośnie o ponad połowę, z obecnych trzech milionów do 4,6 mln. To ważne rozróżnienie, bo 66-letni emeryt zwykle może jeszcze sprawnie funkcjonować, a czasem nawet pracować, natomiast osoby mające ponad 75 lat najczęściej wymagają już mniej lub bardziej intensywnej opieki. Jednocześnie o trzy miliony spadnie nam populacja ludzi w kwiecie wieku, mających 25-49 lat. To jest skala wyzwania, z którym musimy się zmierzyć.

Jak można zarządzać tym procesem?

Mamy doświadczenia państw, które już przez niego przeszły, choćby Japonii, która obecnie jest mniej więcej w tym miejscu, w którym my będziemy za około 20 lat. Z naszych analiz wynika, że należy stosować dwa typy rozwiązań. Po pierwsze, próbować łagodzić zmiany demograficzne, starać się o to, żeby rodziło się więcej dzieci.

Nawet jeśli się uda - choć to trudne - to w perspektywie dekady niczego się w demografii nie zmieni.

Dlatego ważny jest także drugi komponent, czyli adaptacja do zmian demograficznych. Wymaga to zmian na rynku pracy, ale też w sferze usług publicznych. Należy je dostosować do zmian w strukturze demograficznej Polski.

Rozumiem, że kwestia migracji - z powodów politycznych - nie jest w waszej strategii analizowana.

Nasza strategia w tym aspekcie jest spójna z opublikowaną wcześniej przez rząd strategią migracyjną. Migracja tak, ale z priorytetem położonym na bezpieczeństwo, selektywna, obejmująca głównie osoby wysoko wykwalifikowane w zawodach deficytowych oraz Polaków mieszkających za granicą.

Pomijając więc ewentualne wpuszczenie migrantów. Jakie inne metody radzenia sobie z kryzysem migracyjnym proponujecie?

Skupiliśmy się w pierwszej kolejności na usługach publicz-

nych. Proponujemy znaczący rozwój usług opieki długoterminowej. Musimy ten system zbudować niemal od zera.

Co pan nazywa „opieką długoterminową”?

Chodzi o osoby starsze, które nie muszą być w szpitalu, czy w specjalistycznym ośrodku, choć potrzebują opieki i wsparcia na co dzień. Takie osoby najczęściej przebywają we własnych domach, ale ich stan zdrowia wymaga, by codziennie odwiedziła je pielęgniarka lub inna przeszkolona osoba, w miarę regularnie pojawiał się u nich lekarz. Trzeba stworzyć system, który to umożliwi. Dziś tego rodzaju codzienną opiekę najczęściej sprawuje rodzina. Chodzi o to, żeby tego typu opiekę usystematyzować - ale też rozszerzyć jej zakres. Elementem uzupełniającym jest stworzenie sieci centrów usług społecznych.

Przecież już istnieją MOPS-y, Miejskie Ośrodki Pomocy Społecznej.

Tylko że obecnie one świadczą przede wszystkim usługi na rzecz osób ubogich, czy z problemami społecznymi, na przykład uzależnieniami. Chodzi o to, żeby je przekształcić w centra usług społecznych zorientowane na szerszy zakres zadań. Żeby były one w stanie na przykład dowieźć osoby starsze do lekarza albo pomóc zrobić codzienne zakupy. Dlatego właśnie w naszą strategię wpisaliśmy programy aktywnego starzenia się. Podobnie już działają na przykład w Japonii. Chodzi o zorganizowanie dla seniorów systemu usług, ale także zapewnienie im dostępu do kultury, edukacji. Ważną rolę mogą odegrać w tym szkoły, zwłaszcza na obszarach wiejskich.

Akurat wiejskie szkoły odczuwają kryzys demograficzny najbardziej.

W strategii bardzo ostrożnie podchodzimy do pomysłów likwidacji tych szkół, choć faktem jest, że dzieci w nich coraz mniej. Nie ma wątpliwości, że te miejsca w coraz mniejszym stopniu będą świadczyły

usługi edukacyjne - ale wciąż są potrzebne.

Pan chciałby, żeby nauczyciele klas jeden-trzy popołudniami prowadzili zajęcia z rysowania dla seniorów?

O tym, jakie konkretnie zajęcia, niech decydują społeczności lokalne. Ale generalnie szkoły powinny ewoluować w stronę centrów, które organizują czas nie tylko dzieciom, ale również seniorom.

Dla ludzi starszych ważniejsza od sposobów spędzania wolnego czasu jest opieka zdrowotna. W 2009 r. Michał Boni przedstawił strategię „Polska 2030 - Wyzwania rozwojowe”, w której przedstawił pomysł „Polska w 60 minut”. Chodziło mu o to, by z każdego miejsca w kraju karetka była w stanie dowieźć każdego obywatela do szpitala czy lekarza w godzinę. W jaki sposób wyplanujecie rozwiązać kwestie opieki medycznej?

Hasło „Polska w 60 minut” jest bliskie idei zapisanej w naszej strategii. Mówimy w niej o wieloośrodkowej Polsce. Atutem naszego kraju jest fakt, że na całym jego terenie znajduje się wiele miast stosunkowo równomiernie rozłożonych - to nas wyróżnia na tle wielu państw europejskich. W naszej strategii wyznaczamy sieć miast kluczową dla utrzymania tej wieloośrodkowości. Chcemy w ten sposób utrzymać system, w którym większość obywateli ma w swoim zasięgu jakieś w miarę sprawnie działające miasto. Centrum jego życia.

Polskę zawsze wyróżniał układ policentryczny, nigdy u nas nie wykształcił się jeden dominujący ośrodek.

Owszem, ale zmiany demograficzne są poważnym zagrożeniem dla obecnej wieloośrodkowości. Za jakiś czas znaczne obszary naszego kraju będą się szybko starzeć. Młodszy ludzie ciągle migrują do większych miast. Trzeba znaleźć na to antidotum. Mogłyby nim stać się centra życia w całym kraju. W tym celu wyznaczaliśmy w strategii sieć złożoną z 78 miast, która pokrywa zasię-

giem swojego oddziaływania cały kraj.

Dlaczego akurat 78 miast, a nie na przykład 107, ile mamy miast prezydenckich?

Jednym z kryteriów było to, żeby niemal cała populacja naszego kraju miała w zasięgu godziny dojazd do jednego z tych miast. Poza tym zasięgiem znalazły się tylko naprawdę bardzo nieliczne, rzadko zaludnione obszary Polski.

Na zaproponowanej przez was liście nie ma takich miast, jak m.in. Malbork, Jasło, Starachowice. Każde z tych miast ma znaczenie historyczne, ale też bieżące w swoim regionie.

Wcale tego nie neguję. Ale jeśli z poziomu centralnego będziemy chcieli zrobić wszystko dla wszystkich, to nie zrobimy nic. To jest jeden z wniosków płynących z wcielania w życie poprzedniej „Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”. Wyznaczono w niej sieć ponad 130 miast średnich tracących funkcje. I okazało się, że było ich zbyt dużo, bardzo trudno było stworzyć instrumenty wspierające tyle ośrodków. Takie zresztą dostawaliśmy sygnały w rozmowach z regionami, które poprzednim programem były zawiedzione. Po prostu państwo z poziomu centralnego nie jest w stanie dobrze zrozumieć potrzeby tak dużej siatki miast.

A będzie w stanie ogarnąć 78?

Te 78 miast dzielimy właśnie w zależności od potrzeb. Inne potrzeby ma miasto subregionalne, liczące ok. 50 tys. mieszkańców, inne dawne miasta wojewódzkie, a jeszcze inne osiem największych polskich metropolii, które sobie same świetnie radzą. Dla każdego z tych miast jesteśmy w stanie stworzyć dedykowane dla nich instrumenty. Bo metropolie potrzebują mniej wsparcia przy organizacji sieci szpitali - natomiast może być im potrzebna pomoc przy organizacji wydarzeń międzynarodowych. Nasza rola polega na tym, żeby umiejętnie dywersyfikować wsparcie, w zależności od jego odbiorcy.

Jak to wsparcie ma wyglądać w praktyce?

Policentryczność zostanie wpisana w różne polityki publiczne. Od mieszkalnictwa, które będzie rozwijane nie tylko w dużych metropoliach, przez rozwój sieci połączeń kolejowych do małych i średnich miast, po inwestycje publiczne, w przypadku których decyzje o ich lokalizacji będą podejmowane w oparciu o nowe założenia polityki regionalnej. Oprócz tego chcemy, żeby ta szeroka sieć miast używała także specjalne wsparcie w ramach nowej perspektywy finansowej UE.

W województwie świętokrzyskim wskazaliście tylko Kielce i Ostrowiec Świętokrzyski. Czyli te dwa miasta dostaną pomoc centralną - a następnie one będą nią się dzielić z innymi ośrodkami, na przykład Starachowicami, czy Sandomierzem?

Stosujemy konstytucyjną zasadę pomocniczości. To co dobrze widać z poziomu centralnego, będzie wspierane z tego poziomu, a tam gdzie potrzeba spojrzenia regionalnego, większą odpowiedzialność będą miały województwa. One także dostają na politykę regionalną pieniądze. Tak chcemy, żeby ten model działał.

Powtórka z modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego.

Nie. Model polaryzacyjno-dyfuzyjny koncentrował się dużo bardziej na metropoliach, my chcemy działać dokładnie przeciwnie. To jest zasada pomocniczości, która jest dla nas bardzo ważna. Bardzo ściśle współpracujemy z samorządami województw przy tworzeniu tej strategii, tego typu współpracy między poziomem centralnym a samorządowym wcześniej nie było. Ale też mamy świadomość, że to na szczeblu województw lepiej widać, jakie potrzeby mają poszczególne regiony.

Uda wam się utrzymać siatkę 78 miast? Gdy tworzone nowy podział wojewódzki, początkowo miało być ich osiem - ale po naciskach politycznych skończyło się na 16. Pan też

za chwilę zacznie dostawać telefony od posłów rozczarowanych tym, że ich miasta nie ma waszej liście.

Nie dostałem do tej pory ani jednego takiego telefonu.

To zaczyna je dostawać pana polityczni zwierzchnicy.

Ja jestem urzędnikiem odpowiedzialnym za koordynację tego projektu, nie wchodzę w politykę. Staramy się w strategii wyraźnie przedstawiać naszą wizję polityki regionalnej, która jest polityką regionalną sztytu na miarę - ze świadomością, że nie da się robić wszystkiego dla wszystkich.

W projekcie strategii znalazły się zapisy o „procesach konsolidacyjnych i restrukturyzacyjnych szpitali” w kraju. Chcecie likwidować szpitale?

Może dwa słowa o tym, jak powstawała strategia. Ona nie została napisana przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej. Tworzył ją międzyresortowy zespół, zaangażowane w to były wszystkie ministerstwa, a także przedstawiciele wybranych regionów i instytucji publicznych. Ta strategia była pisana przez całą administrację.

A fragment o restrukturyzacji sieci szpitali wpisał do niej Ministerstwo Zdrowia?

Zgodnie z właściwością tego resortu. Chodzi o dostosowanie sieci szpitali tak, żeby rzeczywiście były one w zasięgu każdego obywatela.

Liczba szpitali ma się równać liczbie miast wpisanych do strategii?

Nie ma takiego założenia. Trudno sobie wyobrazić sytuację, że przesuwa się istniejący szpital z jednego miasta do drugiego tylko dlatego, że to miasto zostało wpisane do naszej sieci, byłoby to karkołomne.

W strategii dużo jest miejsca o demografii - ale każde przedstawione przez was rozwiązanie tego problemu istniało już wcześniej w debacie publicznej. I żadne nie robi wrażenia. Trudno zakładać, żeby przyniosły one spodziewany efekt. Nie wiem, czy w tych kwestiach potrzebna jest ułańska fantazja. Mówimy wyraźnie, że trzeba zacząć od rozwiązywania elementarnych przeszkód uniemożliwiających podjęcie decyzji o posiadaniu dzieci.

Stawiacie tezę, że jeśli nie będzie mieszkań, nie będzie dzieci. Trafna uwaga. Ale brakuje mi tam konkretnych, w jaki sposób to zmienić.

Zupełnie się nie zgadzam z taką interpretacją. Wiemy, że państwo ma ograniczony wpływ na to, czy ludzie chcą mieć dzieci, czy nie. Decyzje o tym nie zależą od państwa, to indywidualny wybór każdego z nas. Rolą państwa jest stworzenie jak

NA ROZWÓJ TYCH MIAST ZAMIERZA POSTAWIĆ RZĄD W STRATEGII 2035



Sawulski: Wyznaczyliśmy w strategii sieć złożoną z 78 miast, która pokrywa zasięgiem swojego oddziaływania cały kraj

najlepszych warunków do tego, żeby ludzie mogli i chcieli zakładać rodziny. Do tej pory polityka demograficzna była w dużym stopniu oparta o transfery społeczne. One są ważne, ale to zdecydowanie za mało. Potrzeba też koordynacji polityk w różnych obszarach.

Piszecie, że potrzeba lepszych żłobków, przedszkoli, opieki zdrowotnej.

Tak, to są wszystkie elementy, które wpływają na dzietność i one dopiero w całości tworzą dobre warunki do tego, żeby młoda para zdecydowała się założyć rodzinę.

Głównym powodem braku dzietności jest brak stabilności, czego synonimem stał się brak mieszkań dla młodych. Na to jeszcze nakłada się głęboka zmiana kulturowa. Nie widać u was pomysłów potrafiących to zmienić.

Kryzys demograficzny nie ma jednej przyczyny. Za ten kryzys odpowiadają zarówno zmiany kulturowe, jak i brak stabilności, w tym brak mieszkań. Jest cały szereg przyczyn, który sprawia, że wskaźnik dzietności w Polsce jest jednym z najniższych na świecie.

Tyle że te diagnozy słyszałem wcześniej wiele razy. Natomiast potrzebne są mocne, radykalne działania, które wstrząsną sytuacją, będą swoistym resetem obecnego stanu rzeczy. W tej strategii tego mi brakuje. Takich pomysłów jak choćby wprowadzany na Węgrzech, gdzie dla rodzin z trójką dzieci ma wynosić o proc.

Problem z rozwiązaniami, które dają efekt WOW, jest taki, że one działają przez krótki czas. Nie przynoszą efektu długookresowego. Dlatego lepiej skupić się na małych celach, ale konsekwentnie podnosić jakość życia rodzin z dziećmi w Polsce. Już weszło w życie „babciowe” i wsparcie dla in vitro. Rozwijamy programy opieki zdrowotnej matek, stawiamy na rozwój żłobków i przedszkoli. Szybko rośnie liczba budowanych mieszkań społecznych, w tym dla młodych rodzin. Wiele z tych rozwiązań jest bezprecedensowych.

Każdy z tych programów ma sens - ale też intuicyjnie czuję, że żaden z nich w widoczny sposób na demografię w Polsce nie wpłynie.

W demografii na efekty trzeba po prostu poczekać.

Ludzie czekają przede wszystkim na mieszkania. W takich kwestiach trudno o cierpliwość.

Rząd już przyjął ustawę, zgodnie z którą co roku będzie wydawać około 5 mld zł na budowę mieszkań na tani wynajem. Oznacza to, że będzie co roku powstawać ok. 20 tys. mieszkań tego typu. To ok. 10 proc. wszystkich mieszkań, które się rocznie buduje w tej chwili. Ten program pozwoli też zahamować wzrost cen na pierwotnym.

To właśnie nazywam brakiem konkretności. Na takie mieszkanie trzeba czekać, dostanie się je, albo nie - a wiadomo, że odradzać urodzenia dziecka nie można w nieskończoność. W tym miejscu brakuje mi propozycji bardziej radykalnych. Na przykład ustawowe gwarancje, że rodzina z dwójką dzieci dostaje od państwa mieszkanie - na własność albo na tani wynajem.

Państwo z poziomu centralnego zapewnia finansowanie budownictwa - natomiast

o tym, w jaki sposób te mieszkania będą rozdysponowane, decydują samorządy. Udało się wreszcie stworzyć mechanizmy finansowania budownictwa społecznego, co sprawia, że samorządy wreszcie chcą budować mieszkania na tani wynajem. Jestem przekonany, że w najbliższych latach tego typu mieszkań będzie przybywać.

Przejdźmy do kwestii gospodarczych. W swoich raportach Michał Boni czy Jerzy Hausner pisali o rozwoju zależnym Polski oraz o trwaniu w pułapce średniego rozwoju. Korei Południowej udało się z tej pułapki wyrwać. A nam?

Nie wiem, czy Korea Południowa jest najlepszym przykładem, bo tam jest niska jakość życia. Wskaźniki demograficzne są jeszcze gorsze niż w Polsce, bardzo wysoki odsetek samobójstw, problemy wynikające z przepracowania, kryzysy psychiczne, itp. To nie jest wzór, do którego chcemy dążyć. Ważna jest przede wszystkim jakość życia. Rozwój Polski trzeba oprzeć na wzroście krajowych firm prywatnych. Mamy za mało krajowych firm prywatnych, które przekakują

przez kolejne etapy rozwoju. W tej chwili na 100 największych przedsiębiorstw w Polsce tylko 24 to są krajowe firmy prywatne, reszta to albo spółki skarbu państwa, albo koncerny zagraniczne. Chcemy, żeby tych firm do 2035 r. była przynajmniej połowa, taki sobie stawiamy cel.

Mateusz Morawiecki, autor poprzedniej strategii rozwojowej, stawiał na narodowych czempionów, stąd brał się pomysł łączenia dużych krajowych przedsiębiorstw.

Taka polityka sprowadzała się do tego, że w siłę rosły spółki skarbu państwa. My mówimy, że najważniejsze są krajowe firmy prywatne. Spółki skarbu państwa też są ważne, ale one powinny działać w taki sposób, żeby wspierać rozwój krajowych firm prywatnych. Chcemy znacząco zwiększyć dostęp do kapitału na rozwój firm prywatnych. Potrzebna jest także zmiana całego modelu systemu wsparcia innowacyjności firm w Polsce. Do tej pory ten system był w dużym stopniu oparty o dotacje dla firm. I zawiódł z dwóch powodów. Po pierwsze, powstało wiele firm, które zajęły się głównie wyciąganiem dotacji, a niekoniecznie tym, żeby być innowacyjne. Po drugie, nie wypracowaliśmy też w sektorze publicznym dobrych mechanizmów oceny wniosków. To też trzeba zmienić. Zależy nam, żeby istotnie zwiększyć finansowanie start-upów innowacyjnych w Polsce z wykorzystaniem rynku prywatnego. Także państwo - poprzez zamówienia publiczne - może wspierać rozwój firm prywatnych w wybranych sektorach. Choćby w bezpieczeństwie, przedsiębiorstwa z obszaru militarnego siłą rzeczy muszą dziś zyskać priorytet.

Rozmawiał pan o strategii z premierem Tuskiem?

Nie jestem politykiem, więc nie prowadzę rozmów na poziomie politycznym.

A pana szefowa, Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, omawiała ją z nim?

Tak sądzę.

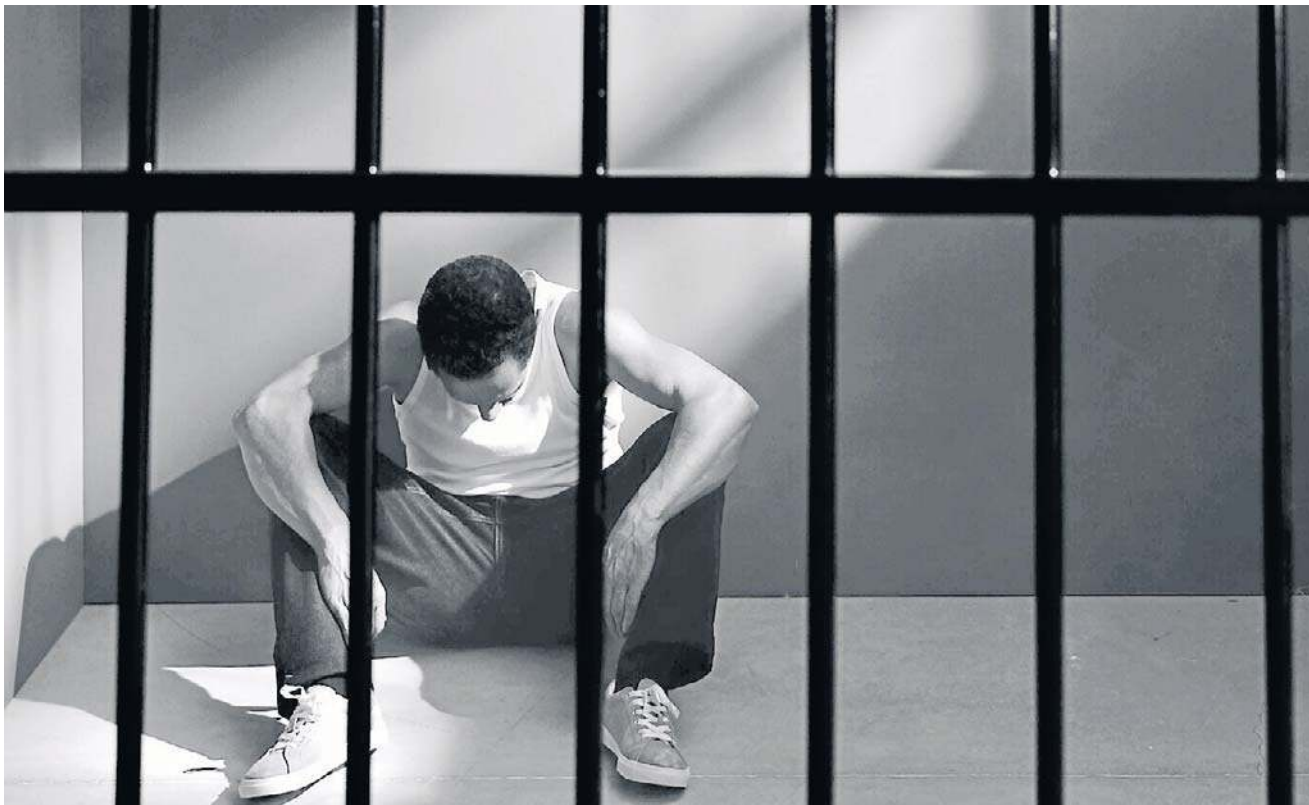
Premier w 2009 r. osobiście prezentował raport „Polska 2030”. O jej autorze Michale Bonim mówiło się „mózg Tuska”. Teraz będzie podobnie, gdy będziecie finalizować prace nad strategią?

Ta strategia z założenia nie ma być politycznym fajerwerkiem. Były nimi poprzednie strategie. Dużo się o nich mówiło w chwili publikacji, ale później w zasadzie nie były realizowane. Nasz dokument został stworzony przez administrację państwową. To rodzi przekonanie, że ta administracja będzie chciała go realizować.

Rzeszowianin z urodzenia, budowlaniec i kucharz (po szkole wieczorowej) z wykształcenia, mający się w życiu wielu zajęć, młodsze z dwojga dzieci sprzedawczyni sklepowej Heleny i ojca, malarza pokojowego. Niespokojny duch, w 1988 roku uciekł do Niemiec Zachodnich, w których poprosił o azyl polityczny, skarżąc się na komunistyczne władze. W rzeczywistości chciał uniknąć obowiązkowej wówczas w Polsce służby wojskowej. Władze RFN uznały, że nie zasługuje na status obywatela tego państwa, a jednak został, zajmując się tu dorywczo ogrodnictwem i pracując w branży gastronomicznej. W 1992 r. wrócił do innej już Polski, tu interes w handlu sprowadzanymi z Azji tekstyliami nie wyszedł, więc podzięsiu latych spędzonych w ojczyźnie postanowił ponownie szukać swojego miejsca w bawarskim Monachium.

Na ścieżkę przestępstwa

Kariery tu nie zrobił, znów dorywcza robota w gastronomii, ogrodnictwie, transporcie, życie odmienił mu (na gorsze) znajomy z Polski jeszcze z lat 90., który poprosił, by przyjął pod opiekę niejakiego Tomasza Lisa, który wybiera się do Niemiec. Piotr nie miał pojęcia, że niegdysiejszy znajomy współkieruje grupą przestępczą, a Lis jest jej żołnierzem, wysłanym do Niemiec celem kradzieży wartego 100 tys. euro obrazu. W 2004 roku 35-letni wówczas Piotr wspólnie z pomieszkującym u niego 17-letnim Lisem uzgodnili, że mogą trochę zarobić na mało ryzykownych napadach. Zaczęli od Salo Wolfa, niemal 80-letniego, polskiego pochodzenia i więźnia KL Auschwitz (kiedy miał 13 lat), właściciela monachijskiej kamienicy, do którego Piotr miał żal: z dwójką kolegów z Polski wynajmowali od starszego pana mieszkanie, a ten ponoć nie oddał im kaucji, kiedy opuszczali lokal. To Piotr z Lisem zaczęli się na niego w dniu, kiedy zbierał czynsze od lokatorów, Piotr na czatach, Lis przydybał starszka na schodach kamienicy, potężny cios „z pięści”, a starszy pan stoczył się z najwyższych stopni schodów na dół. Bezbronnej ofierze Lis zabrał kopertę z tysiącem euro i było po robocie. Łatwej robocie. Równie łatwa była kradzież w restauracji. W zasadzie ten skok Piotr tylko naraił, bo to Lis po zamknięciu lokalu okradł kasę z ledwie kilkudziesięciu euro. Niewiele, ale i bez ryzyka. Równie bezproblemowa miała być napaść i rabunek na luksusowe prostytutki. Z pierwszą nie wyszło, bo w ogromnym budynku Lis nie potrafił odnaleźć drzwi do jej mieszkania, z Ecateriną poszło jeszcze gorzej. W zasadzie wszystko poszło nie tak, bo Piotr poszedł do więzienia, Lis wrócił do Polski.



FOT. FREEPIK.COM (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

OD PONAD 20 LAT SIEDZI ZA KRATAMI ZA MORDERSTWO, KTÓREGO NIE POPEŁNIŁ

Ma na to dowody polski wymiar sprawiedliwości, także polskie organy ścigania, były prezydent RP i jego kancelaria, a nade wszystko zabójca, który przyznał się do tej zbrodni i karę za nią już „odsiedział”. A Piotr P. wciąż w więzieniu z wyrokiem dożywocia

Andrzej Płes

Śmierć, której miało nie być

Ustalenie numeru telefonu do Ecateriny nie było problemem, numer podała właścicielka agencji towarzyskiej, Piotr umówił spotkanie w jej mieszkaniu na 26 marca 2004 r. Plan był taki: on czeka w pewnej odległości od budynku, do mieszkania wchodzi tylko Lis, jako klient, lewą ręką podaje otwierającą drzwi mieszkania gospodyni kwiat, uderzeniem prawej powala ją na podłogę, obezwładnia, zabiera wszystko, co cenne i wychodzi. W tym mo-

mencie po obydwu na sygnał od Piotra podjeżdża autem trzeci współnik Z., we trójkę znikają pewni bezkarności. Do pewnego momentu wszystko szło zgodnie z planem: Ecaterina czekała sama, jej ośmiomiesięcznej córeczki i męża, który nie miał pojęcia, czym żona się zajmuje, w mieszkaniu nie było. Kwiat od Lisa odebrała i ten pierwszy obezwładniający cios w twarz też. Potem sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Z tą prostytutką było tak, że ja wszedłem do mieszkania,

a Piotr P. czekał na mnie na zewnątrz - zeznawał w 2013 r. przez tarnobrzskim Sądem Okręgowym mężczyzna, który 10 lat wcześniej występował w Monachium pod nazwiskiem Tomasz Lis. Tym razem obszernie „sypał” kumpli z grupy przestępczej, ku radości oskarżycieli. - W lewej ręce trzymałem kwiatek, podałem jej. Kiedy tylko chwyciła, prawą uderzyłem ją w twarz. Potem kopnąłem i znów uderzyłem. Był moment, że biłem ją tak, jakby mnie coś opętało. Kiedy wychodziłem z łupem z jej mieszkania, ona

żyła. Tak głośno oddychała, przykryłem ją kołdrą. Nie mogłem domyć rąk z krwi, czułem taki słodki zapach.

To było dopiero w 2013 r., tymczasem dzień po napadzie w Monachium Piotr z mediów dowiedział się, że policja znalazła zamordowaną prostytutkę. „Fantów” z napadu nie sprzedali, jako zbyt ryzykownych dla spieniężenia, wkrótce Tomasz Lis znikł. Piotra z początkiem grudnia 2004 r. dopadła policja, która trafiła do niego m.in. na podstawie bilingu rozmów telefonicznych i logowania się

telefonu do stacji BTS. Trafił do aresztu śledczego, pomieszczeń z kratami nie opuścił do dziś. Oskarżony o morderstwo, rabunek ze skutkiem śmiertelnym i rabunek został 18 kwietnia 2006 roku skazany przez Sąd Krajowy w Monachium na karę łączną dożywotniego pozbawienia wolności. Na nic zdały się konsekwentne w treści zeznania, że w ogóle nie było go w mieszkaniu Ecateriny, więc nie mógł jej zabić. Przyznał, że czekał na Tomasza Lisa na zewnątrz budynku, ale przecież nie zabił i zabójstwa nie planował, to Lis zabił. Niemiecka prokuratura sprawę Tomasza Lisa, nie mogąc go znaleźć, wyłączyła do osobnego postępowania i na lata o nim zapomniała. Piotra miała „pod ręką”, skazując go na dożywocie bawarski sąd uzasadniał:

- Kiedy pani Ecaterina I. otworzyła rzekomemu klientowi drzwi mieszkania, Lis zadał ofierze, zgodnie ze wspólnie z P. powziętym planem przestępstwa, potężne ciosy przede wszystkim w głowę. Kiedy silnie krwawiąc pani I. straciła przytomność, Lis zaklecił, za pozwoleniem P. otwory oddechowe ofiary przyniesioną taśmą klejącą do paczek. Oskarżeni P. i Lis mogli oczekiwać lub przewidzieć śmierć pani I., jako konsekwencję takiego sposobu postępowania. Działanie z przemocą i w następstwie tego skutek śmiertelny miało im umożliwić zabranie przedmiotów wartych kradzieży. Łup ten zamierzali zdobyć za cenę śmierci pani I. Po naocznym stwierdzeniu sposobu działania swego pomocnika P. wyszedł z mieszkania, ubezpieczając je z zewnątrz. Ustawił się przed domem. Obecność w mieszkaniu w czasie popełnienia czynu udowodniono P. dzięki wiarygodnym zeznaniom świadka Lufingo.

„Świadek Lufingo” przypieczętował los Piotra, który i w śledztwie, i podczas procesu monachijskiego, i później konsekwentnie nie przyznawał się do tego, by kiedykolwiek był w mieszkaniu Ecateriny. „Świadek Lufingo” Piotr poznał jeszcze w areszcie śledczym w Landshut.

- Nazywał się Paulo Lufingo, o ile dobrze pamiętam - pisał po latach w odręcznie napisanym liście. - Był Afrykańczykiem z Beninu albo Nigerii i on wówczas przebywał w celi obok mnie. - Całość informacji o mnie czerpał z gazety „TZ”, prasy lokalnej w Monachium, w której to w roku 2004 było moje zdjęcie i dokładny opis zatrzymania, za co i o co zostałem oskarżony. Była tam również informacja z wyznaczoną nagrodą dla osoby, która będzie mogła coś wiedzieć o mnie i mnie zna, i może coś wniesić do sprawy.

Dodaje, że Lufingo trafił do aresztu za przestępstwa finansowe. Panicznie bał się deportacji do kraju pochodzenia, gdzie ponoć miał wiele na su-

mieniu, a także dożywotniego zakazu wjazdu do Niemiec. To też skuszony nagrodą i obawiając się deportacji Lufingo zeznał śledczym, a potem w sądzie, jakoby Piotr opowiedział mu o swoim udziale w śmierci Ecateriny i że był w jej mieszkaniu. Na zeznania w sądzie został dowieziony ostatniego dnia procesu, dla Piotra były jak gwóźdź do trumny, albo jak sam to określał: wisienka na torcie dla niemieckiego wymiaru sprawiedliwości.

Na nic były zaprzeczenia Piotra, próby konfrontowania się z kłamstwami sąsiada z aresztu i zaprzeczania jego zeznaniom, ani śledczy, ani sąd mu nie wierzyli.

- Ja sam wielokrotnie wnosiłem i prosiłem wówczas o przesłuchanie mnie na wariografie, abym przynajmniej w taki sposób mógł się obronić i potwierdzić swoje zeznania - przytacza w liście. - Absolutnie nigdy nie otrzymałem na takie badania zgody.

Prawda nas wyzwoli?

Wyrok na Piotra jeszcze nie zapadł, kiedy niemieccy śledczy zwrócili się do polskiej policji o odnalezienie oskarżonego Tomasza Lisa.

- Chodziło o szukanie Tomaszków Lisów z naszego terenu, ich karalności, DNA - zeznał w 2018 r. przed rzeszowskim Sądem Okręgowym Krzysztof W., podkarpacki policjant, wspominając, że był to 2005 rok. - W 2009 albo 2010 roku wpłynął do mnie list, w którym podane były szczegóły, na podstawie których można było spróbować szukać tego trzeciego sprawcy.

Rzeczywiście, po tym, jak Piotr w 2009 r. został przeniesiony z bawarskiego więzienia do zakładu karnego w Przemyślu, napisał list do CBS.

W czasie kiedy zamordowano Ecaterinę, na terenie Podkarpacia, świętokrzyskiego i lubelskiego doszło do serii napadów na kantory, banki, hurtownię, konwojenta. Dochodzeniowcy przekonani byli, że dopuściła się tego grupa przestępcza, doszli do tego, że werbowała młodych, niekaranych ludzi, dysponowali fotografiami tych, którzy mogli do tej grupy należeć. W reakcji na otrzymany przez CBS list Krzysztof W. pojechał do przemyskiego więzienia, spodziewając się, że Piotr może mieć informację o „trzecim człowieku”.

- Okazaliśmy mu tablicę poglądową z fotografią Tomasza W., umieszczoną wśród trzech przybranych fotografii - relacjonował kilka lat później przed sądem. - Skazany rozpoznał Tomasza W. jako znanego mu Tomasza Lisa.

Kolejne działania odbyły się już w towarzystwie niemieckich śledczych, Tomasz W. został zatrzymany.

- Przesłuchiwany przyznał się do zabójstwa, opisał dokładnie zdarzenie rozboju i mordu

Ecateriny, rozboju na Salo Wolfe, włamania do jakiegoś lokalu, wszystko w Monachium oraz jednego z rozbojów w Stalowej Woli na właścicielu kantoru, jak również - kto go wysłał do Niemiec i po powrocie kto odebrał rzeczy zabrane z mieszkania Ecateriny i kto spalił jego paszport.

Paszport „Tomaszowi Lisowi” spalił szef grupy przestępczej, kiedy dowiedział się o śmierci Ecateriny. Zresztą sam Lis dowiedział się, że kobieta nie żyje dopiero po powrocie do Polski.

Policjant nadmienia, że to głównie dzięki wskazaniu przez Piotra Tomasza W. udało się rozbić zbrojną grupę przestępczą. A szukając na prośbę policji niemieckiej Tomasza Lisa, miał okazję przyrzeć się materiałom z niemieckiego śledztwa z zabójstwa z Monachium.

- W tych materiałach już procesowych nie natrafiłem na żadną merytoryczną przesłankę, żeby skazany P. był w mieszkaniu Ecateriny - oświadczył rzeszowskiemu sądowi. - Gdyby się wtedy z 2005 roku udało ustalić Tomasza W., wyrok na Piotra P. też mógłby być inny.

Dodawał, że sprawie Piotra poświęcił następnych kilka lat, dopytywał również Tomasza W. vel Lisa, czy rzeczywiście w mieszkaniu Ecateriny był sam. Odpowiedź „Lisa” była niezmienna: był sam, Piotr tylko go podwiózł.

Niemoc sprawiedliwości

Kiedy odnalazł się „Tomasz Lis” i kiedy formalnie przed niemiecką i polską prokuraturami przyznał się do zabójstwa na Ecaterinie, Piotr spodziewał się, że brama do wolności nie-

mał stoi dla niego otworem. Tym bardziej że Tomasz W. za to zabójstwo został przez niemiecki sąd skazany w 2010 roku na 9 lat i 3 miesiące pozbawienia wolności. Nie dożywocie, jak Piotr, bo kiedy Lis uśmiercał Ecaterinę, nie miał skończonych 18 lat, więc jako nieletni mógł być skazany co najwyżej na 10 lat więzienia. Po rewelacjach „Lisa” Piotr pisał do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości prośby o wznowienie jego sprawy i weryfikację wyroku z 2006 r.

- Z sądu (niemieckiego) otrzymałem odpowiedź, że oni mają swój stary materiał dowodowy i nic ich nie interesuje - opowiadał w 2018 r. przed rzeszowskim sądem okręgowym, kiedy ubiegał się o prezydenckie prawo łaski.

Niewiele wskórał ówczesny prokurator Prokuratury Rejonowej w Stalowej Woli Adam Cierpatka, który wraz Krzysztofem W. odwiedzili Piotra w przemyskim więzieniu. W 2004 prowadził sprawę rozboju w Stalowej Woli, ustalono, że sprawcy siedzieli na murku, poleciał wówczas zebrać z niego odciski palców, po 10 latach przydały się, bo część z nich - jak się okazało - należało do Tomasza W. W sprawie Piotra też próbował interweniować.

- Sygnalizowałem stronie niemieckiej kwestie dotyczące pana P., przysyłając wyroki i informując o naszych ustaleniach - mówił przed sądem w 2018 r. - Zresztą oni mają dwa sprzeczne wyroki, ale odpowiedzieli w sposób mętny, tzn. że oni uważają, że pan P. jest złym człowiekiem, a działanie na przedpolu zasługuje na dożywocie.

Dwa sprzeczne wyroki: za zabójstwo na Ecaterinie najpierw

został skazany Piotr, sprawa Lisa została wyłączona do osobnego postępowania, a potem Tomasz Lis, jako jedyny czynny sprawca tej zbrodni. „Działanie na przedpolu”: Piotr miał współuczestniczyć w planowaniu tego napadu, choć przecież nie w zabójstwie.

Próbę przekonania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości podjął jeszcze w 2013 r. prokurator okręgowy w Tarnobrzegu Marian Burczyk, sugerując zasadność wznowienia przez tamtejszy sąd postępowania w sprawie Piotra. Skończyło się podobnym rezultatem, jak zabiegi prokuratora Cierpiatki i policjanta Krzysztofa W.

W efekcie niemiecki wymiar sprawiedliwości nigdy nie wznowił sprawy Piotra P., wyrok dożywotniego pozbawienia wolności jest utrzymany w mocy, polskie sądy nie mogą go zmienić. Wielokrotne potwierdzenia Tomasza W., iż Piotr w zabójstwie nie uczestniczył, niewiele prawnie zmieniają. Zresztą „Tomasz Lis” swoje za ten czyn już odsiedział i w 2020 r. tę „odsiadkę” zakończył. Gdyby Piotr odbywał swoje dożywocie w niemieckim więzieniu, to w 2019 roku mógłby ubiegać się o przedterminowe zwolnienie. W polskim dopiero po 25 latach od chwili osadzenia go w tymczasowym areszcie, więc wniosek o przedterminowe zwolnienie może złożyć dopiero w 2029 roku.

Do ilu razy sztuka?

Droga sądowa do wolności wydawała się ślepą uliczką, brama do wolności znów się zatrzasnęła. Matka Piotra zaczęła zabiegać o inne rozwiązanie: prezydenckie prawo łaski. Stosowne wnioski wpłynęły do Kancelarii Prezydenta RP,

do prośby matki Piotra ustosunkowały się też, zgodnie z procedurą, sądy: okręgowy i apelacyjny w Rzeszowie. W 2018 r. okręgowy wysłuchał relacji i argumentów Krzysztofa W., policjanta, który odwiedził Piotra w więzieniu, również prokuratora Cierpiatki, w efekcie rzeszowski SO wydał dla tego wniosku pozytywną opinię. Podobnie sąd apelacyjny, obydwa podkreślały rolę Piotra w rozpracowaniu zbrojnej grupy przestępczej, nienaganne zachowanie w ZK, nagrody od dyrekcji więzienia, a przede wszystkim ogromne wątpliwości co do przedstawianego przez niemiecki wymiar sprawiedliwości udziału Piotra w zabójstwie w Monachium.

- Naprowadzone wyżej okoliczności, zdaniem Sądu Apelacyjnego, przemawiają za pozytywnym potraktowaniem wniosku o ułaskawienia Piotra P. - konkludował pięcioosobowy skład SA w Rzeszowie do Prezydenta RP. Prezydent Andrzej Duda ułaskawienia odmówił.

Wniosek o prawo łaski ponowiono, ale i ten Prezydent Andrzej Duda odrzucił. Trzecia próba skończyła się tak samo. Wtedy Piotr chyba ostatni raz napisał do Prezydenta Andrzeja Dudy.

- Szanowny Panie Prezydencie, chciałbym móc zadać Panu tylko jedno pytanie, dlaczego wbrew decyzjom Sądów, tak Okręgowego, jak i Apelacyjnego, skazał mnie pan na karę śmierci? - pytał. Bo dożywocie to jakby humanitarna forma kary śmierci.

Z końcem 2024 r. do Kancelarii Prezydenta trafił czwarty wniosek, sformułowany przez adwokatów Piotra. Bardzo obszerny, jeszcze dobitniej podkreślający, że do zabójstwa przyznał

się Tomasz W. i karę za nie „odsiedział”, zaprzeczył, by Piotr był na miejscu przestępstwa i w napadzie na Ecaterinę uczestniczył. Wyliczający, że oskarżony był 103-krotnie nagradzany przez dyrekcję zakładu karnego, 23 razy przyznawano mu ulgi.

- Jest aktywny życiowo w ramach możliwości, jakie są w Zakładzie Karnym, tj. obecnie pracuje w zakładzie konserwatorskim, uczestniczył w programach resocjalizacyjnych, brał udział w programie readaptacji społecznej oraz licznych programach i zajęciach kulturalnych - zaznacza się we wniosku. - Według aktualnej opinii dyrektora Zakładu Karnego prognoza penitencjarna kształtuje się jako pozytywna.

Zresztą w ZK w Załężu, gdzie wciąż przebywa, chyba wszyscy znają jego historię.

Piotr wciąż z nadzieją czeka, że po ponad 20 latach, spędzonych za kratami za cudzy grzech śmiertelny, będzie miał jeszcze szansę oddychać wolnością. Ten, który rzeczywiście zabił, odsiedział połowę tego czasu i od pięciu lat jest wolny.

- On wciąż żyje nadzieją - mówi lamiącym się głosem pani Helena, matka Piotra, o czwartej już prośbie syna o ułaskawienie. - Ale widzę, co się z nim dzieje, jak i tym razem się nie uda i nie wyjdzie, to nie wiem co zrobi. Żeby się tylko psychicznie nie załamał. Kiedyś w drodze do Włoch miał wypadek samochodowy, teraz czasem powtarza: mamo, żałuję, że wtedy nie zginąłem na tej drodze.

Z wdzięcznością wspomina wszystkich, którzy podtrzymują syna na duchu, tych którzy walczyli i walczą o to, by Piotr odzyskał wolność, także ks. prof. Edwarda Stańka. To postać powszechnie znana w środowiskach krakowskich, były rektor Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej, który - dopóki pozwałało mu na to zdrowie - odwiedzał Piotra w więzieniu, a poza nim zabiegał o uwolnienie niesłusznie skazanego.

- Jeżdżę do syna raz na miesiąc, bo przepisy pozwalają na dwie godziny odwiedzin w miesiącu - mówi pani Helena. - Gdyby przebywał w niemieckim więzieniu, to może już byłby wolny. A chciał tam odbywać karę, ale tam powiedziano mu, że ma polskie obywatelstwo i w Polsce powinien być, że go tam nie chcą. A obiecali mu, że jak się znajdzie prawdziwy sprawca, to wznowią proces. Nigdy tego nie zrobili.

O uwolnieniu Piotra P. zabiega Fundacja Dowód Niewinności, Sąd Okręgowy w Rzeszowie cztery razy zaakceptował jego prośbę o prezydenckie prawo łaski, o naprawienie niesprawiedliwości, jaka go spotkała, wielu apeluje głośno bądź kularowo. Nie tylko dla dobra Piotra, także w imię powszechnej wiary w istnienie sprawiedliwości.

ROZMOWA



FOT. ANDRZEJ BANAS

Prokurator Piotr Kosmaty, pełnomocnik ministra sprawiedliwości ds. kształcenia ustawicznego prokuratorów

- Co przekonuje prawnika, że pan Piotr nie jest winien tego, za co został skazany?

- Wszystkie wskazuje na to, że człowiek ten odbywa karę, i to dożywotniego pozbawienia wolności, za czyn, którego nie popełnił. Działania naszych organów: sądu, prokuratury i CBSP, wykazały, iż zachodzi duże prawdopodobieństwo, że zbrodnię przypisaną panu Piotrowi dokonała inna osoba. W każdym systemie prawnym de-

mokratycznego państwa są instytucje prawne, które w tym stanie rzeczy muszą takie przesłanki skontrolować. Bo tak: mamy pochwyconego człowieka, który - jak ustaliły polskie służby - dokonał tego przestępstwa, a nie pan Piotr, przekazując go do Niemiec, Niemcy przeprowadzają proces, on się do popełnienia tego przestępstwa przyznaje, jest skazany i odbywa karę. Ponadto jednoznacznie, bez żadnego interesu osobistego, wskazuje na to, że pana Piotra na miejscu zdarzenia nie było. Nadto na miejscu zdarzenia nie znaleziono żadnych śladów obecności pana Piotra: DNA, odcisków palców, zapachowych, po prostu żadnych. W europejskim systemie prawnym obowiązuje zasada trafnej reakcji karnej, która wymaga, by za czyn odpowiadał ten, który się go dopuścił, a nie może być sytuacji, w której konsekwencje po-

nosi ktoś, kto tego nie zrobił. Toteż w momencie, kiedy pojawiają się nowe dowody lub fakty, wskazujące, że dana osoba nie popełniła czynu, należy wznowić postępowanie, celem ustalenia rzeczywistego przebiegu zdarzenia. I taka sytuacja tu zachodzi.

- Polski wymiar sprawiedliwości jest wobec tego przytomny bezsilny, po prawopadku wyrok wobec pana Piotra orzekł sąd niemiecki.

- I dlatego w 2013 roku prokurator z Tarnobrzega wystąpił do strony niemieckiej z wnioskiem, sugestią, czy aby nie należałoby wznowić tego postępowania, bo ustalone fakty wskazują co innego, niż zawierał to wyrok tamtejszego sądu. Nie rozumiem strony niemieckiej, bo albo tam jest zła wola, albo ignorancja. Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej

rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego. Stan faktyczny i prawny jest bardzo skomplikowany i trzeba dobrej woli po stronie niemieckiej, by problem rozwiązać.

- Pan Piotr po raz czwarty ubiega się o prezydenckie prawo łaski, a jeśli nawet je uzyska, łącznie z odzyskaniem wolności, to ułaskawienie nie jest uniewinnieniem. On wciąż będzie miał status prawny człowieka winnego zabójstwa, który przypisał mu sąd niemiecki.

- Dlatego kiedy zostanie już ułaskawiony, powinny zostać podjęte wszelkie kroki prawne, przy współpracy ze stroną niemiecką, celem oczyszczenia tego człowieka z zarzutów. Powtórzę: niezrozumiałe jest dla mnie stanowisko strony niemieckiej, bo to albo zła wola, albo ignorancja, jedno i drugie bardzo niedobre.

TAKA GRZECZNA DZIEWCZYNA, TAKI SPOKOJNY CHŁOPAK

Historią dwojga 16-latków z Koluszek żyje dziś cała Polska. Tydzień temu zniknęli, nie dając znaku życia. Zaczęły się mnożyć spekulacje, że biorą udział w modnym internetowym challenge'u, który polega na zniknięciu z domu na 48 godzin. Jest nowy ślad, nagranie z monitoringu. Ale to tylko ślad...

Anna Gronczewska



FOT. MAT. POLICJI

Te zdjęcia od tygodnia zna cała Polska. Joasia i Karol zniknęli z domu i do tej pory nie dali znaku życia. Poszukuje ich policja, Straż Graniczna, powiadomiono także policję w Czechach, do poszukiwań włączono także psy tropiące

Joasia i Karol mają po 16 lat. Tydzień temu w czwartek, 9 października, wyszli z domu i mieli iść do szkoły. Nie pojawili się w niej, nie wrócili też na noc do domu.

Borowa to niewielka wieś położona niedaleko Koluszek. Tu z mamą i młodszym bratem mieszka Joasia Cieplucha. Sąsiedzi nie powiedzą na nią złego słowa.

- Bardzo ładna, grzeczna dziewczyna - mówią. - Widziałem jak nieraz czekała na autobus, by zawiózł ją do szkoły do Koluszek. Ostatni raz chyba dwa dni przed tym jak zniknęła.

Inny z sąsiadów opowiada, że zna Joasię, a także jej rodzinę. Choć w ostatnim czasie spadło na nią tyle nieszczęść, to są bardzo ze sobą zżyci.

- Półtora roku temu zmarł tata Joasi, wcześniej umarł dziadek, wujek - wyjaśnia mieszkaniec Borowej. - Bywałem czasami w domu Joasi. Miała bardzo dobry kontakt z mamą. Nieraz widziałem jak razem siedziały, rozmawiały, śmiały się. Gdy dowiedziałem się, że Joasia zniknęła, to nie mogłem uwierzyć.

Anna, mama Joasi, od ubiegłego czwartku nie może spać, nerwowo reaguje ma każdy dzwonek telefonu, puknięcie do drzwi.

- Z telefonem się nie rozstaje - mówi. - Przecież w każdej chwili może zadzwonić Joasia.

Jej mama nie wie co się stało. Nie miała z córką problemów.

- To bardzo dobre dziecko, Karol też! - powtarza.

Jak zwykle szykowała się do szkoły

Joasia uczyła się w Szkole Podstawowej w Gałkówku, potem poszła do liceum w Koluszkach. Ale miała problemy z matematyką, więc zmieniła liceum na technikum budowlane. Też w Koluszkach. Uczy się w drugiej klasie.

Do szkoły dojeżdżała codziennie busem. Tak też było w czwartek 9 października. Joasia jak zwykle rano szykowała się do szkoły. Mama przygotowała jej kanapki. Dała jej też kotlet.

- Odrzeczysz sobie w szkole - powiedziała do córki, gdy ta wychodziła z domu i udała się w stronę przystanku.

Joasia zabrała kanapki, kotlet, ale do domu już nie wróciła...

Jej mama była przerażona, gdy córka po szkole nie wróciła do domu. Zawiadomiła policję. Okazało się, że tego samego dnia zniknął Karol Szewczyk, 16-latek z Koluszek.

- Znałam Karola - mówi Anna Cieplucha. - Tylko od razu wyjaśnię, że on nie jest chłopakiem córki. Przyjaźnili się. Mieli swoją paczkę.

Karol przychodził do nas, raz robili grilla. To normalny chłopak, żaden łobuz.

W internecie pojawiają się spekulacje, że wzięli udział w „48h challenge”. Polega na tym, że nastolatki uciekają z domu i ukrywają się przed policją. Mają przy tym zebrać jak najwięcej „klików” przy informacji o ich zaginięciu. Ale mama Joasi, jak i rodzice Karola zapewniają, że to niemożliwe, by wzięli udział w tym challenge'u. To samo twierdzi policja.

Może uciekli i boją się wrócić?

Karol mieszka w Koluszkach, na krańcach miasta, w dawnych wojskowych budynkach, które później przekształcono na bloki. Z rodzi-

cam, bo starsza siostra już się wyprowadziła.

Chłopak, który akurat wyszedł wyprowadzić psy, zna Karola.

- Kolega z osiedla - wyjaśnia. - Wiele razy ze sobą rozmawialiśmy. Był spokojny, ale gdy się ma 16 lat, to trudno znaleźć świętych. Generalnie był spoko kolegą. Nie wiem gdzie może być. Może uciekli z tą dziewczyną, a teraz boją się wrócić do domu?

Kolega widział Karola w dniu jego zaginięcia. Spotkali się na przystanku autobusowym. Karol mówił mu, że jedzie do Wrocławia na koncert.

- Pożegnaliśmy się i już go więcej nie widziałem - dodaje.

Rodzice Karola są zafascynowani, tak jak mama Joasi.

- Mama Karola mówiła nam, że przez te ostatnie dni to spała może dwie godziny! - mówią sąsiedzi państwa Szewczyków.

Udało się ustalić, że Joanna i Karol zamiast w szkole pojawili się na dworcu w Koluszkach. Wsiadli w pociąg do Wrocławia. Mieli tam być około 13.00. Policja ustaliła, że Karol ostatni raz logował się na swym telefonie w miejscowości Jedlina-Zdrój koło Wałbrzycha. Było to w dniu zaginięcia, tuż przed północą. Gdy dowiedzieli się o tym rodzice Karola, to jego ojciec tam pojechał. Nie natrafił jednak na żaden ślad syna.

Karol uczy się w szkole branżowej w Koluszkach. Ma zostać mechanikiem samochodowym. Zastępca dyrek-

tora szkoły zapewnia, że Karol nie sprawiał kłopotów. Ale jego klasa, a także inni uczniowie bardzo przeżywają zaginięcie Karola.

- Dlatego psycholog będzie miał spotkania z naszymi uczniami - zapewnia dyrektor. - Nie tylko z klasy Karola.

W tej szkole przed wakacjami wydarzył się dramat. Jeden z jej absolwentów, dwatygodnie po zakończeniu roku szkolnego, zginął w tragiczny sposób. Pracował w warsztacie ojca i przygniótł go samochód, który naprawiał...

Co ich mogło skłonić do ucieczki?

Anna Cieplucha nie wie, jak jej córka poznała Karola. Tak jak tego, co mogło ich skłonić do ucieczki. Nic nie wskazy-

wało, że Joasia może uciec z domu. Nie widać było, że miała jakieś problemy. Mama nie zauważyła, by przygotowywała się do ucieczki. Nie zabrała ze sobą dodatkowych ubrań. Miała przy sobie jakieś pieniądze. Jej mama mówi, że razem z Karolem mogli mieć około 1000 złotych.

- Nie wiem co mogło się stać - mówi mama Joanny. - Jak córka miała przyjść później do domu, to zaraz dzwoniła! Nawet jak miała spóźnić się pół godziny. Ona nie miała paszportu, dowodu, tylko legitymację szkolną. Karol miał dowód tymczasowy.

Annie dużo pomaga mieszkowemu policjant.

- Podtrzymuje mnie na duchu, zresztą policja bardzo się stara, chce ich znaleźć - dodaje.

Ktokolwiek wie, ktokolwiek widział

Szybko pojawiły się komunikaty podające rysopisy zaginionych nastolatków, Joasia ma 160 centymetrów wzrostu, jest szczupłą dziewczyną z czarnymi oczami i brązowymi, długimi włosami. Na plecach ma brązowe znamię. W dniu zaginięcia ubrana była w czarną puchową kurtkę z kapturem, czarne dresy z napisem Nike oraz białe buty za kostkę. Posiada przy sobie czarną małą torebkę oraz czarny plecak szkolny.

Natomiast Karol ma 176 centymetrów wzrostu, krótkie, ciemne włosy, brązowe oczy. Na prawym łokciu ma dużą bliznę. Ubrany był w czarną kurtkę typu wiatrówka, jasne dresy oraz czarne buty za kostkę.

Osoby, które posiadają informacje na temat zaginionych, proszone są o kontakt z Komendą Powiatową Policji Powiatu Łódzkiego Wschodniego z siedzibą w Koluszkach pod numerem telefonu 47 842 12 11.

Są czarne myśli i jest nadzieja

Zaginionych nastolatków szuka policja. Jak powiedziała nam młodsza aspirant Aneta Kotynia z Komendy Powiatowej Policji Łódź-Wschód, w poszukiwaniach pomagają policjanci z Dolnego Śląska, Straż Graniczna. O zaginięciu Joasi i Karola powiadomiona jest czeska policja, która też prowadzi poszukiwania.

- Biorą w niej udział także specjalne psy tropiące z Komendy Głównej Policji - mówi młodsza aspirant Aneta Kotynia. - Jeden z monitoringów na terenie Dolnego Śląska zarejestrował nastolatków. Nie mogę jednak powiedzieć, gdzie i kiedy to było.

Anna Cieplucha przyznaje, że do głowy przychodzą jej czarne myśli, ale szybko je odrzuca. Trzeba przecież mieć nadzieję.

PRACOWNIK SOCJALNY WYŁUDZIŁ 2,8 MLN ZŁ ZASIŁKÓW - NA BEZDOMNYCH

Jak to możliwe, że pracownik socjalny przez 9 lat wyłudził z Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Toruniu ponad 2,8 mln zł zasiłków? Pieniądze brał na fikcyjnych bezdomnych w potrzebie, popełnił ponad 100 przestępstw. Tłumaczy się uzależnieniem od hazardu

Małgorzata Oberlan



Wielka miłość do hazardu - tym pracownik MOPR w Toruniu uzasadniał przed sądem swoje oszustwo. Przyznał się do zarzucanych mu czynów/zdjęcie ilustracyjne

Proces Piotra R. rozpoczął się 1.10. przed Sądem Okręgowym w Toruniu. Po cichu, bez kamer i błysku fleszy. Toruńska prokuratura w tak ważnej dla miasta sprawie nie wydała żadnego komunikatu, kończąc śledztwo i kierując akt oskarżenia. Władze miasta też nie zwoływały żadnej konferencji po odkryciu nieprawidłowości, choć w przeszłości robiły tak np. przy okazji okradania przez pracownicę jednej ze szkół.

Wierchołek góry lodowej tej gigantycznej afery ujawniła nasza redakcja w styczniu 2023 r. Impulsem był list od pracowników MOPR-u, który zresztą skierowali też do śledczych. Wówczas prokuratura potwierdziła, że wszczęto postępowanie w sprawie takich wyłudzeń na 3 osoby bezdomne. Podejrzenie przestępstwa zgłosił dyrektor toruńskiego MOPR-u Rafał Walter. I on wtedy wiedzę miał o trzech przypadkach.

Czy ktoś podejrzewał tak ogromną skalę przestępstwa i straty miejskiej placówki, jakie ostatecznie opisano w akcie oskarżenia? Być może tylko nieliczni pracownicy socjalni. Szokuje nie tylko wysokość szkody - ponad 2 mln 800 tys. zł - ale i fakt, że Piotr R. zasiłki wyłudzał aż przez 9 lat (2014-2023 rok).

Jednym z ostatnich zagrań *va banque* uzależnionego od hazardu pracownika było - jeszcze przed rozpoczęciem jego procesu karnego - pozwanie do sądu pracy oszukanego pracodawcy. Piotr R. w pozwie wnioskował o uznanie za bezskuteczne wypowiedzenie umowy o pracę, przywrócenie do pracy oraz przyznanie mu odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu. Ostatecznie w trakcie postępowania sądowego podtrzymał tylko kwestie odszkodowania - dowiadujemy się od Przemysława Woltmana, rzecznika MOPR w Toruniu.

Finał tej sprawy? 30 kwietnia br. sąd umorzył postępowanie - po tym, jak Piotr R. wycofał pozew.

Jak konkretnie wyłudził miliony Piotr R.?

„Przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Bardzo wszystkiego żałuję. Hazard był moją wielką miłością, ale udało mi się z tego wyjść” - powiedział 50-letni Piotr R. na sali sądowej 1.10., gdy zaczął się jego proces. Następnie złożył obszerny wyjaśnienia. Podobno niczego już teraz nie kryje. Trzeba jednak mieć na uwadze, że jak każdy oskarżony ma prawo się bronić i może mieć się z prawdą.

Jak działał ten pracownik socjalny? Śledztwo w tej sprawie przeprowadziła i zakończyła latem br. skierowaniem aktu oskarżenia do sądu Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum Zachód. Oto, co ustaliła.

Będąc pracownikiem MOPR Toruń, mężczyzna stworzył po-

staci kilkudziesięciu bezdomnych. Swoim przełożonym, zajmującym się przyznawaniem zasiłków takim osobom, przedkładał sfałszowane dokumenty. Miały podrobione podpisy, itd. Przez lata jakoś mu się to oszustwo udawało. Łącznie wydano decyzje o przyznaniu zasiłków dla kilkudziesięciu takich „spreparowanych” bezdomnych. - W ten sposób Piotr R. doprowadził do przyznania świadczeń fikcyjnym osobom i zasilania środkami finansowymi kart przedpłaconych, przyznanych osobom bezdomnym. Pieniądze wykorzystał, wypłacając je dla siebie - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu. - Łączna suma strat to ponad 2,8 mln zł. Oskarżony przyznał się do wszystkich zarzucanych mu czynów, złożył obszerny wyjaśnienia, które korespondują z ustaleniami poczynionymi w toku postępowania przygotowawczego i wyraził skruchę.

Nie jest tajemnicą, że w Toruniu taka forma wypłacania zasiłku dla osób bezdomnych - na wkasie „do ręki” czy inny sposób

- budziła od początku wątpliwości wśród pracowników socjalnych. Stosowana jest jednak także w innych rejonach kraju.

Według słów Rafała Waltera, do dziś dyrektora MOPR-u w Toruniu, mężczyzna zarówno wykorzystywał dane klientów, którzy już nie korzystali z pomocy ośrodka, jak też tworzył postaci fikcyjne, wprowadzając do systemu numery PESEL. Jak podejrzewa dyrektor, generował je zapewne za pomocą specjalnego oprogramowania.

Gdzie był nadzór?

Według kontaktujących się z naszą redakcją pracowników socjalnych z Torunia i innych miejscowości (dane do naszej wiadomości), trudno uwierzyć w całkowicie samodzielne działania Piotra R. przez 9 lat. Nasi informatorzy przesyłają nam schematy działania ośrodka podczas przyznawaniu decyzji o zasiłkach; wskazują na konieczność poprzedzania ich wiadomymi środowiskowymi. Nie dowierzają, by bezpośredni przełożeni (koordynatorzy dzia-

łów) w takich przypadkach przez lata niczego nie zauważyli.

Piotr R. okradał MOPR od 1.10.2014 do 31.10.2023 r. Taki okres w akcie oskarżenia precyzuje prokuratura. Dyrektorami ośrodka w tym czasie byli kolejno: Kazimiera Janiszewska, Jarosław Bochenek (odwołany przez ówczesnego prezydenta miasta Michała Zaleskiego jesienią 2020 r. bez podania przyczyny mediom), Iwona Urbańska (była p.o.) i Rafał Walter (powołany na stanowisko we wrześniu 2021 r.).

Ośrodkiem do dziś kieruje Rafał Walter. Po wewnętrznej kontroli i zgłoszeniu przestępstwa w 2023 r. w MOPR zaszyły zmiany. Nigdy nie da się wykluczyć, że w jakiejś instytucji pojawił się oszust czy malwersant, cały system ma być jednak możliwie jak najbardziej szczelny.

- W naszym ośrodku został zmieniony system weryfikacji tożsamości klientów (też zasiłkobiorców - przyp. red.). System komputerowy jest ten sam, natomiast dodatkowy moduł

pozwala na weryfikację z bazą PESEL, co zgodnie z przyjętymi procedurami stało się obligatoryjne w stosunku do każdego naszego klienta - objaśnia Przemysław Woltman, rzecznik MOPR w Toruniu.

Co natomiast z osobami odpowiedzialnymi za nadzór nad MOPR Toruń? Prokuratura nie przekazuje, że w tym zakresie prowadziła śledztwo i komuś postawiła zarzuty.

Hazardzista z GOPS w Krzywdzie z karą w zawiasach

50-letni pracownik socjalny z Torunia był najprawdopodobniej patologicznie uzależniony od hazardu - to określenie z żargonu terapeutów zajmujących się podobnymi przypadkami. Oznacza najgłębszy stopień uzależnienia. Ten, w którym hazardzista wkracza do siódmego kręgu piekieł. Już nie tylko - jak każdy nałogowy gracz - reguluje emocje hazardem, odczuwa jego głód przy abstynencji, kłamie i manipuluje bliskimi, żyje w świecie iluzji. Patologiczny hazardzista gra o coraz wyższe

stawki, sieje coraz większe спустoszenie w świecie swoim, rodziny, współpracowników. Zdolny też jest do łamania prawa, byle tylko zdobyć pieniądze na swój nałóg. Kradzieże, malwersacje, wyłudzenia - to wszystko wtedy może się pojawiać i nie jest rzadkością.

Pracownika socjalnego hazardzistę ma w swojej historii niewielki ośrodek pomocowy na Lubelszczyźnie - GOPS we wsi Krzywdza, w powiecie łukowskim. Chodzi o Pawła P., który przez 3 lata pracy wypłacił sobie blisko 400 tys. zł w zasiłkach - też po to, by mieć na hazard.

Wszystko zaczęło się w styczniu 2010 r. Paweł P. odpowiadał w GOPS za przyjmowanie wniosków dotyczących wypłaty zasiłków i świadczeń rodzinnych. Do niego także należało ich wypłacanie. Wpisywał wymyślone nazwiska, numery PESEL i dowodów. Falszował dokumentację napływających do niego wniosków. Potem na ich podstawie przelewał np. „becikowe” i inne świadczenia na swoje konto.

Oszukańczy proceder wydał się dopiero w październiku 2013 r., kiedy inni pracownicy GOPS nie mogli znaleźć papierowych teczek, które powinny zawierać informacje na temat wypłat. Paweł P. najpierw zaangażował się w ich szukanie. Gdy jednak okazało się, że to on stoi za fikcyjnymi wypłatami, przyznał się do winy. Powtórzył to także w prokuraturze i poprosił o ukaranie go bez przeprowadzania rozprawy. I sąd się na to zgodził. Na początku 2015 r. mający wówczas 32 lata Paweł P. usłyszał wyrok. Skazany został na 4 lata więzienia, ale w zawieszeniu na 8 lat próby. Nakazano mu też zwrot wszystkich wyłudzonych pieniędzy, zapłacenie 20 tys. zł grzywny oraz rozpoczęcie terapii. Z opinii sądowo-psychologicznej wynikało jasno, że mężczyzna jest patologicznym hazardzistą i to spowodowało takie, a nie inne zachowania.

Przy tej samej okazji skazany został także kolega nieuczciwego pracownika GOPS w Krzywdzie - niejaki Jakub D. To na jego konto wpływała część świadczeń wyłudzonych przez Piotra P. Odsyłał je hazardzista lub wypłacał z banku i przekazywał osobiście. Ten kompan w następstwie został skazany na rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata i 2 tys. zł grzywny.

Czy wyrok w zawieszeniu usłyszy też w przyszłości Piotr R. w Sądzie Okręgowym w Toruniu? To całkiem możliwe, jeśli tylko opinie biegłych psychiatrów przekonają Temidę o tym, że patologiczny hazardzista „nie był sobą”, tylko w szponach nałogu i choroby, na którą się leczy. - Wniosek o dobrowolne poddanie się karze nie był jednak przez nas składany - przekazuje adwokat Joanna Michalak, obrońca torunianina. ©

DR ARTUR SZKLENER: JAK GRAĆ CHOPINA, BY NIE ZGUBIĆ JEGO DUCHA

– Muzyka Chopina jest uniwersalna, a jednocześnie głęboko zakorzeniona w polskości. O tym, dlaczego mazurki są największym wyzwaniem nawet dla Polaków i czego wciąż możemy się uczyć od Fryderyka – mówi dr Artur Szklener, dyrektor Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina

Anita Czapryn

Konkurs Chopinowski wchodzi w trzeci etap. Emocje rosną z każdym dniem. Czy Pana zdaniem można dziś mówić o nowym sposobie grania Chopina, o nowym zjawisku?

Tegoroczny konkurs pokazuje, że muzyka Chopina – tak głęboko polska – należy do ogólnoświatowego dziedzictwa i do pewnego stopnia wciąż się uniwersalizuje. Pianisci z całego świata odczytują ją na własny sposób, a publiczność i specjaliści dzielą się na bardziej lub mniej konserwatywnie podchodzących do takich zagadnień jak idiomy polskich tańców. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że pytanie o to, czy interpretacje chopinowskie powinny być kwestią zawężoną do narodowego, polskiego spojrzenia, czy otwierać się na szerszą, światową perspektywę, towarzyszy konkursowi od samego początku. Już po jego pierwszych edycjach pojawiały się głosy, że polska szkoła pianistyczna zostaje poświęcona na rzecz uniwersalizacji. Wydaje mi się jednak, że to napięcie między tendencjami lokalnymi a globalnymi jest w dużej mierze wartością Konkursu Chopinowskiego. Pomimo pewnych fluktuacji w kolejnych dziesięcioleciach, nie zatraciliśmy połączenia ze źródłem, punkty odniesienia są wciąż żywe, a twórczy dialog nowych odczytań z tradycją pozwala kolejnym pokoleniom zbliżać się do sztuki liczącej już dwieście lat.

Pana zdaniem to dobrze, że granie Chopina staje się coraz bardziej uniwersalne?

Należę do osób, które starają się znaleźć tu złoty środek. Z jednej strony ogromnie się cieszę, że muzyka Chopina porusza artystów i słuchaczy na całym świecie, że nawet ci, którzy nie mają dużego do-

świadczenia w obcowaniu z polską kulturą, starają się samodzielnie poznać jego twórczość i zaprezentować ją tak, jak ją rozumieją. Z drugiej strony uważam, że konkurs powinien wyznaczać pewne standardy, jeśli chodzi o kwestie zasadnicze, takie jak idiomy taneczne – inne dla oberka czy kujawiaka, inne dla mazura czy poloneza, jeszcze inne dla walca. A katalog takich chopinowskich idiomów jest naprawdę bogaty: to śpiewność, gra legato, czyli ściśle łącząc dźwięki między sobą bez użycia pedału, szlachetne brzmienie (nawet w najgłośniejszych momentach), czy umiejętność tak plastycznego kształtowania muzyki, by przykuwała uwagę jak barwne opowiadanie. To specyficzna zaduma, dominujący ciemny koloryt – zwłaszcza w dojrzalszych kompozycjach, to dyskusja z konwencjami, to dbałość o najdrobniejsze niuanse, bo w nich kompozytor zawiera esencję swych dzieł, to wreszcie pewne rozchwylenie metryczne, ale przy zachowaniu ogólnej dyscypliny, jakby na krawędzi grania zgodnie z pulsem – szczególnie istotne w mazurkach. To wszystko cechy muzyki Chopina, które stwarzają olbrzymie pole dla indywidualnych interpretacji, przy zachowaniu rysów dla niego specyficznych.

No właśnie, mazurki! Czy to dla obcokrajowców największe wyzwanie?

Zdecydowanie tak, mazurki od dekad uważane są za najtrudniejszy gatunek chopinowski, szczególnie dla obcokrajowców. Dziś obserwujemy jednak, że stają się one wyzwaniem także dla nas samych, bo coraz mniej tańczymy. Nawet jeśli walc jest jeszcze w miarę zrozumiały w wielu kulturach,



Fryderyk Chopin w 1849 r., kilka miesięcy przed śmiercią. To jedyne zachowane zdjęcie kompozytora, zrobione przez słynnego fotografa Louisa-Auguste'a Bissona

*CHOPIN, BĘDĄC JEDNYM Z NAJDO-
SKONALSZYCH PIANISTÓW SWO-
ICH CZASÓW, NIGDY NIE TRAKTO-
WAŁ TECHNIKI FORTEPIANOWEJ
JAKO CELU SAMEGO W SOBIE*

bo to taniec popularny, zakorzeniony w Europie, to mazurki zawierają elementy – w tym kontekście – wręcz egzotyczne.

Słowem: polski idiom, polski rytm, polski duch?

Tak jest. Akcent na trzy, pewien rodzaj podskoku po drugiej mierze, dość chropowata harmonia, rubato – to związki z polskim językiem i ludową tradycją wykonawczą, które trudno zrozumieć, jeśli nigdy się nie słyszało ani nie widziało tych tańców w oryginale. Dlatego mazurki, choć z technicznego punktu widzenia często nie sprawiają wielkich trudności, od strony interpretacyjnej są największym wyzwaniem. W dodatku w szczytowym momencie ich rozwoju Chopin łączył wiele tańców w jednym utworze w rodzaj opowieści, przez co bywają nazywane poematami tanecznymi.

Jakie szanse mają Polacy w starciu z Azjatami, którzy jednak dominują w świecie fortepianu?

W przypadku Konkursu Chopinowskiego atutem polskich uczestników jest bardziej naturalne, wręcz organiczne rozumienie polskiej muzyki. Wszyscy uczymy się tańczyć poloneza (przynajmniej na studniówkę), polonezy słyszymy w polskich filmach, mazury możemy podziwiać w polskich operach, coraz bardziej popularne jest studiowanie kultury regionalnej, aktywnie działa wiele zespołów kultywujących rodzimą tradycję. To wszystko powoduje pewne zanurzenie w naszej kulturze, które nawet podświadomie powinno ułatwiać jej zrozumienie i odzwierciedlenie w artystycznych interpretacjach. Poza tym wydaje mi się, że siłą artystów wywodzących się z europej-

skiego kręgu kulturowego jest pewnego rodzaju indywidualizm, gest osobisty wynikający z własnego przeżycia. Myślę, że połączenie takich cech osobowościowych z dogłębными studiami i wytrwałą pracą daje szansę na poważny rozwój wybitnych artystycznych osobowości, a takich w naszym kraju nie brakuje. Natomiast jeśli chodzi o uczestników z Azji, to mamy dziś do czynienia z niezwykle wzrastającym dzięki edukacyjnym rozwiązaniom systemowym, które zapewniają absolutnie fenomenalne przygotowanie techniczne.

Czy ta perfekcja nie zabija emocji? Czy dziś wolno jeszcze grać nieidealnie?

Pytanie, co to znaczy grać idealnie. Działalność artystyczna w swej istocie różni się od amatorskiej poziomem opracowania, dążeniem do perfekcji. Czego jednak owa perfekcja dotyczy? Wykonanie bezbłędne, czyli bez błędnych dźwięków, z poprawnym odczytaniem określeń wykonawczych, dobrą techniką, jeśli nie wypływa z osobistego przeżycia, lecz jest jedynie wynikiem mechanicznego przyswojenia wzorca obcego artysty, wcale nie musi oznaczać nawet wykonania dobrego, nie mówiąc o perfekcyjnym. Wciąż – i tak będzie zawsze – liczy się przeżycie i własna ekspresja artysty.

Słyszał Pan na konkursie pianistów, którzy bardziej czują, i takich, którzy bardziej kalkulują?

Słyszałem i takich, i takich. Wydaje mi się jednak, że kalkulacja nie musi wykluczać czucia. Artysta na bardzo wysokim poziomie zaawansowania opracowuje utwór nie-



FOT. WOJCIECH GRZĘDZINSKI

Dr Artur Szklener: Najcenniejsze są te wykonania, w których najwyższy kunszt artystyczny towarzyszy identyfikacji muzyka z kompozycją

zwykle szczegółowo. Słysząc od razu, że nie ma tam przypadkowości. Piękno muzyki polega na tych prawie nieuchwytnych połączeniach między dźwiękami, które wynikają z głębi refleksji. A tego nie da się przekazać bez niezwykle drobiazgowego opracowania detali. Najcenniejsze są zatem te wykonania, w których najwyższy kunszt artystyczny towarzyszy identyfikacji muzyka z kompozycją. Kiedy z jednej strony słyszymy perfekcję, a z drugiej mamy poczucie, że jest ona jedynie narzędziem, środkiem w przekazywaniu emocji, treści, muzycznych słów.

Kiedy rozmawialiśmy przy okazji XVIII Konkursu Chopinowskiego, mówił Pan, że Chopin nie znosił szczerania fortepianu. Czy coraz doskonalsze technicznie współczesne instrumenty nie zagrażają brzmieniu, o które mu chodziło?
Instrumenty nie zagrażają, najwyżej wykonawcy mogą zagrażać (uśmiech). Współczesny fortepian daje niezwykle możliwości barwowe i dynamiczne, i to artysta musi sam wyznaczać granice pięknego dźwięku. I nie chodzi o to, by nie grać bardzo głośno.

W niektórych momentach swoich utworów Chopin ewidentnie chciał tak potężnego brzmienia, jakie tylko było możliwe na ówczesnych instrumentach. Ale przekroczenia estetycznej granicy nie znosił. Dziś sytuacja właściwie wygląda podobnie – gdy pianista uderza w klawiaturę zbyt siłowo, to co prawda zapewne współczesny instrument nie zostanie z tego powodu uszkodzony, ale nie będzie to dobre wykonanie muzyki Chopina.

Chopin przy dzisiejszym Konkursie Chopinowskim wydaje się, moim zdaniem, fenomenem kontrastów. Odrzucał wirtuozerię dla samej wirtuozerii, a przecież w Konkursie Chopinowskim chodzi o to, żeby zagrać doskonale i perfekcyjnie. Chopin pisał o tęsknocie, ale nie był sentymentalny, a na konkursie pojawia się trudność: jak grać, by jego melancholia miała w sobie siłę, a nie bezsilność czy rozpacz. Chopin nie znosił blichtru, występował rzadko, źle znosił tłum, a tymczasem konkurs to światła reflektorów, globalne wydarzenie i jego nazwisko jako marka. Jak Pan na to wszystko patrzy z tej perspektywy?

Myślę, że bardzo ważne jest to, że Chopin, będąc jednym z najdoskonalszych pianistów swoich czasów, nigdy nie traktował techniki fortepianowej jako celu samego w sobie. Bardzo wcześnie, bo jeszcze w Warszawie, gdy zaczął pisać pierwsze etiudy, traktował trudności techniczne jako jeden ze środków wyrazu. Oczywiście chciał zaprezentować swoje możliwości pianistyczne, ale kładł nacisk na zupełnie inne elementy muzyki, w szczególności jej esencjonalność i emocjonalność. Zatem technika jest warunkiem koniecznym, ale nie wystarczającym – jak powiedziałby matematycy – by Chopina grać dobrze. Chopin w wielu aspektach swoich dzieł wydawał się balansować na krawędzi sprzecznych tendencji: powściągliwy w gestach, ale niezwykle głęboki w emocjach, zazwyczaj klasyczny w układach architektonicznych, ale organiczny w swobodnych przekształceniach muzycznych, zatopiony w myślach, pełen głębokiej refleksji, ale też dandys i dusza towarzystwa. Te wszystkie antytezy słysząc w jego muzyce, a jednocześnie potrafił w mistrzowski sposób budować z nich czytelne i bar-

dzo osobiste wypowiedzi. Cechy te wskazują, jak ważne są głębokie studia i zrozumienie tajników jego muzycznego języka. Często ledwo dostrzegalne niuanse powodują bowiem, że poważnie zmienia się cała narracja.

Przywołam jeszcze raz naszą rozmowę sprzed prawie pięciu lat. Wtedy powiedział Pan, że Chopin tworzył muzykę organiczną, podobną do mowy. O czym więc poprzez swoją muzykę mówił najgłośniej, a o czym milczał?

To bardzo głębokie pytanie, bo mowa muzyki ma inną semantykę i bardzo trudno ją zwerbalizować. Chopin sam pisał w swoich „Szkicach do metody gry fortepianowej”, których nigdy nie ukończył, że muzyka jest rodzajem języka, w którym słowami są dźwięki. Można nim przekazać emocje, uczucia, ale także myśli, choć nie-

wysłowione – bardziej gesty duszy niż słowa. Muzyka Chopina mówi bardzo wiele, przede wszystkim o przeżyciach. Jeśli przyjrzymy się jego balladom, barkaroli czy scherzom, zobaczymy wyraźnie niezwykle szeroki wachlarz uczuć, rozpięty na całą kompozycję. Słysząc tam wyznania miłosne, śpiew, piętrzenie i wybuchanie konfliktów, dramatyczne kulminacje, chwile zwątpienia, apatii, momenty gniewu, buntu, furii. Mówi po prostu o nas, o człowieku i jego kondycji.

Wspomniał Pan o pierwszym Konkursie Chopinowskim. Jak bardzo różni się te pierwsze konkursy od dzisiejszych? A co w nich pozostało podobne? Co je łączy, oprócz oczywiście samej muzyki Chopina?
Przed wszystkim mamy połączenie młodzińczego entuzjazmu z wielkim dziedzic-

stwem artystycznym, bo na tym polega stuletnia już idea Konkursu Chopinowskiego, która w żaden sposób się nie zestarzała. Jest to wciąż zaproszenie do rozmowy, do pokazania przez młodych artystów z różnych krajów i kultur, jak rozumieją muzykę Chopina. Niezmienny jest też element rywalizacji, wskazania tych, którzy w tej drodze doskonalenia zaszli najdalej, zatem między rokiem 1927 a 2025 jest znacznie więcej podobieństw niż różnic.

17 października obchodzimy 176. rocznicę śmierci Fryderyka Chopina. Czego dziś powinniśmy się od niego uczyć, nie jako muzycy, ale po prostu jako ludzie?

Skromności. Chopin mówił o sobie i o swojej muzyce jakby nie do końca doceniał jej wielkość. Prawdopodobnie wyniósł to jeszcze z etosu oświeceniowego przyswojonego w Warszawie, w domu, od swoich profesorów. Mimo że z czasem był coraz bardziej świadomy wartości swojej twórczości, a na pewno miał poczucie pewnej misji, pozostał człowiekiem wręcz pokornym. W jednym z listów wspominał, że od kilku miesięcy nie napisał nic ani dla ludzi, ani dla Boga. To sygnał, że miał świadomość sztuki, która wykraczała poza „tu i teraz”, lecz był to bardziej impuls do wytężonej pracy niż poczucie satysfakcji. I myślę, że druga rzecz, której warto się od niego uczyć, to absolutna niezłomność w dążeniu do piękna.

Czy Pan – jako znawca Chopina, słuchając młodych muzyków, potrafi się zwyczajnie wzruszyć i zapomnieć o Chopinie?

Wzruszyć – jak najbardziej. Ale zapomnieć o Chopinie? Nie wiem, czy to możliwe. Myślę, że przygotowanie teoretyczne czy historyczne w żaden sposób nie przekreśla możliwości czysto estetycznego, a nawet głęboko emocjonalnego odbioru dzieła sztuki.

Jak długo – Pana zdaniem – świat będzie jeszcze potrzebował Chopina?

Do końca świata i jeden dzień dłużej. Nie potrafię sobie wyobrazić naszej cywilizacji, ale też nas samych, ludzi, jakimi siebie znamy, bez sztuki, bez wspaniałej twórczości i bez możliwości odtwarzania jej na nowo. I tu powraca ta sama myśl: połączenie tego, co zastane, z tym, co nowe. Sztuki performatywne – w tym muzyka – dają nam tę możliwość, by każde pokolenie na nowo reinterpretało dzieło, czyniło je swoim i dzieliło się nim z innymi. I to jest po prostu piękne.

NIE POTRAFIĘ SOBIE WYOBRAZIĆ NASZEJ CYWILIZACJI, ALE TEŻ NAS SAMYCH, LUDZI, JAKIMI SIEBIE ZNAMY, BEZ SZTUKI, BEZ WSPANIAŁEJ TWÓRCZOŚCI CHOPINA

Dwa i pół roku temu Agenci CBA weszli do Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Zainteresował ich biznesmen prowadzący sklep odzieżowy „Red is Bad”, który dostawał od rządu gigantyczne zamówienia. Wtedy Polska po raz pierwszy usłyszała o Pawle Szopie, który jakiś czas potem został aresztowany. Okazało się, że od wielu lat olbrzymie zakupy związane z katastrofami ostatnich lat - z pandemią i wojną na Ukrainie - rząd kierował do tego niszowego przedsiębiorcy, mającego doświadczenie wyłącznie w sprzedawaniu koszulek z narodową i antykomunistyczną symboliką. Teraz został głównym dostawcą strategicznych dla państwa towarów, kupował dla rządu maseczki, rękawice, prądnice. Stał się jednym z najważniejszych prywatnych współpracowników polskiego państwa.

Agentów CBA zastanowiło nie to, że Paweł Szopa współpracuje z polskim rządem, ale to, że polski rząd współpracuje z nim wbrew elementarnej logice. Porównano faktury, na przykład Szopa kupował agregaty prądotwórcze w Chinach za sześćdziesiąt dziewięć milionów, a rząd płacił mu za to trzysta pięćdziesiąt milionów. Szopa zarabiał więc na czysto dwieście osiemdziesiąt jeden milionów, a polski budżet tracił dwieście osiemdziesiąt jeden milionów, bo rząd mógł kupić ten towar bezpośrednio od chińskiej fabryki. Zamiast wspierać polską służbę zdrowia czy Ukraińców, większość pieniędzy przekazywał do kieszeni prywatnego przedsiębiorcy. Gdyby nie zlecał Szopie, mógłby kupić towaru wielokrotnie więcej. Mało tego, mógłby kupić towar dobrej jakości, tymczasem Szopa w dużej mierze kupował szmelc, niedziałający złom. Rząd to wiedział, niemniej nadal zamawiał u Szopy. Wciąż przepłacając czterdziesto-, pięciokrotnie.

Paweł Szopa został aresztowany, zaproponowano mu małego świadka koronnego, więc zaczął szeroko zeznawać. Prokuratorów zaskoczyło to, że Szopa tych pieniędzy nie ma. Najprawdopodobniej nie ukradł ich dla siebie, wziął najwyżej kilkadziesiąt milionów, a zatem setki milionów złotych, które były zyskiem z kolejnych transakcji, nie trafiły do jego kieszeni. Nie on był więc szefem operacji, był tylko słupem, który dawał swoją twarz, nazwisko oraz brał na siebie główne ryzyko. Pieniądze zaś trafiały do realnego szefa tej operacji. Do kogo? Do dziś nie wiadomo.

Prokuratura zainteresowała się również prezesem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, Michałem Kuczmierowskim. To on przez lata zlecał Szopie zakupy, jego urzędniczka, która również zdecydowała się na współpracę z prokuraturą, zeznała, że to na osobiste pole-

Jaka była rola premiera w aferze, na której Skarb Państwa stracił, lekko licząc, od pół miliarda do nawet siedmiuset milionów złotych? – o tym pisze w książce Jacek Harłukowicz, ceniony dziennikarz śledczy



FOT. ADAM JANKOWSKI

Być może Morawiecki miał wielkie ambicje, ale słabą pozycję w PiS, więc zbierał środki na finansowanie swojej działalności – pisze autor

TYLKO ŚWIADEK CZY RACZEJ PODEJRZANY?

cenie szefa wszystkie największe zakupy agencji kierowane były do Szopy. Zarówno ona, jak i jej poprzednik opowiedzieli szczegółowo historie kolejnych zamówień i stosowanej przez Kuczmierowskiego konspiracji. Na przykład taką: pewnego dnia urzędnik stawiał się w pokoju szefa i pytał, do kogo idzie dzisiejsze zamówienie. Kuczmierowski uśmiechnął się, napisał na karteczce „Żelazowa Wola”. Urzędnik nie zrozumiał. – Z czym ci się kojarzy Żelazowa Wola? – podpowiada szef. – Z Szopenem. – A Szopen z czym? – Z Szopą...

(...) Tak się złożyło, że to ja byłem autorem pierwszych informacji o tej aferze, na łamach Onetu opisywałem kolejne jej rozdziały. Z początku najbardziej zdumiewające były dla mnie kwoty, polscy politycy nigdy nie ukradli tak wielkich pieniędzy. Nawet w aferze FOZZ. W innej sławnej aferze Lew Ry-

win w imieniu „grupy trzymającej władzę” chciał od Agory siedemnaście i pół miliona dolarów łapówki, czyli sześćdziesiąt trzy miliony złotych. W przypadku RARS „grupa trzymająca zamówienia” zagrała o stawkę prawie dziesięć razy większą. I w przeciwieństwie do afery Rywina, gdzie do łapówki nie doszło, swoje pieniądze dostała i sprawiedliwości na razie się wywinęła. Przed prokuraturą, na razie, zeznają płotki. Potem uderzyło mnie coś ważniejszego. Że na początku nikt, ja również, nie zrozumiał, z jak wielką sprawą mamy do czynienia.

(...) Kłopot w tym, że ludzie, którzy prowadzili akcję CBA, jak też ci, którzy prowadzą śledztwo, zgodnie mówią, że ci dwaj panowie stanowili wierzchołek góry lodowej, mniej ważny fragment zorganizowanej grupy przestępczej, której szefem był ktoś dużo ważniejszy od Kuczmierowskiego. Kto? Nie wia-

domo. Może sam premier? Jeden z prokuratorów pytany przeze mnie o to, dlaczego nie przesłuchał jeszcze Morawieckiego, odpowiada: „Bo nie wiem, w jakim charakterze go wezwać. Świadka czy podejrzanego”.

Poszedłem tym tropem – i o tym właśnie jest ta książka. Zaczęłem sprawdzać fakty i hipotezy na temat tej sprawy. Znalazłem serię niezwykle zbiegów okoliczności. Kuczmierowski był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Mateusza Morawieckiego, obok Michała Dworczyka i Mariusza Chłopika. Mieli ze sobą stały kontakt, pracowali ze sobą od wielu lat, kumpłowali się prywatnie. Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych, czyli miejsce, w którym afra się rozgrywa, była dzieckiem Morawieckiego, została stworzona w 2020 roku, w początkach pandemii, z przekształcenia z wcześniejszej, nieznanego nikomu

Agencji Rezerw Materiałowych, niedługo przed tym, gdy Szopa na zlecenie agencji dokona pierwszych zakupów. Została powołana osobistą decyzją premiera i podlegała osobiście jemu. Dalej. To premier mianował Kuczmierowskiego prezesem agencji. A cała agencja od początku została obsadzona zaufanymi ludźmi Morawieckiego, środowiskiem tak zwanych harcerzy. Instytucję przejęła jedna, zgrana, lojalna, szczelna grupa. I natychmiast zaczęła aferalne praktyki.

Morawiecki współpracował z harcerzami od dawna, przez dwie dekady był ich politycznym liderem oraz biznesowym pracodawcą. Spędzał z nimi czas, przyjeżdżał na ich obozy, był z nimi na „ty”. Kiedy został prezesem BZ WBK, jednego z największych banków w Polsce, harcerzami obsadził istotne stanowiska, on też pozwolił im zarobić pierwsze duże pieniądze. Kiedy został wicepremierem, pociągnął harcerzy za sobą, obsadził nimi strategiczne stanowiska. Gdy dwa lata później został premierem, pociągnął ich jeszcze wyżej. Stale pozwalał im zarabiać coraz większe pieniądze. Sami harcerze dzisiaj opowiadają, że Morawiecki ich zorganizował, ale też skorumpował. Dbał, aby środowisko było lojalne wobec niego nie tylko z powodów politycznych, ale też prozaicznych. Dzięki Morawieckiemu kupowali sobie luksusowe domy, mieszkania na wynajem, drogie samochody.

Kolejny ważny fakt. W czasie kilku lat trwania afery RARS Kuczmierowski był nie tylko bezpośrednim podwładnym premiera, ale jednym z najbliższych współpracowników, z którym premier miał stały kontakt. Również Paweł Szopa był w kręgu ludzi Morawieckiego, premier go znał, spotykał się z nim. Jest jedno spotkanie, które daje pole dla najbardziej śmiałych hipotez – w grudniu 2023 roku, trzy lata po tym, jak Szopa zaczął okradać polskie państwo, o czym rząd od dawna wiedział, bo był ostrzegany przez CBA, w gabinecie premiera spotkali się Morawiecki, Kuczmierowski i Szopa. Rozmawiali o tym, co można jeszcze pociągnąć, zanim Morawiecki za kilka dni odda stanowisko po przegranych przez PiS wyborach.

To tłumaczy pytanie, nad którym zastanawia się prokuratura – czy premier jest w tej sprawie świadkiem, czy powinien zostać podejrzanym. Czy to możliwe, że szefem operacji, na której Skarb Państwa stracił, lekko licząc, od pół miliarda do nawet siedmiuset milionów złotych, a ktoś te pieniądze zarobił, był polski premier?

(...) Ale najbardziej intrygujące jest pytanie, na co te pieniądze były przeznaczone. Przeprowadziłem wiele rozmów zarówno z harcerzami Morawiec-

kiego, jak też z politykami PiS. Okazuje się, że hipotez jest kilka. Po pierwsze – kradli dla siebie. Po drugie, nie kradli, ale – jak to się mówi – „robili politykę”. Morawiecki miał wielkie ambicje, ale słabą pozycję w PiS, więc zbierał środki na finansowanie swojej działalności. Tak jak Zbigniew Ziobro oparł finansowanie swojej partii na Funduszu Sprawiedliwości, tak Morawiecki na RARS. Jest wreszcie hipoteza trzecia – Morawiecki zbierał pieniądze nie tylko dla siebie, ale dla całego PiS. Dlatego premier przez trzy lata miał nad sobą parasol ochronny. Raczej jednak nie ze strony nieznającego go szefa służb Mariusza Kamińskiego, a samego Jarosława Kaczyńskiego. Jest wreszcie hipoteza czwarta, która mówi, że prawdziwe są wszystkie trzy powyższe.

Kwota, jaka została wyprawiona, jest ogromna, to w sumie co najmniej siedemset milionów złotych. Roczna dotacja dla partii, jaką dostaje na przykład Platforma Obywatelska, to około dwadzieścia pięć milionów. Czyli pieniędzy z RARS wystarczy na działalność wielkiej partii przez co najmniej dwadzieścia lat. Taką kwotą można obdzielić wszystkich. Wystarczy i na osobiste potrzeby, na domy i samochody, i na polityczną karierę grupy Morawieckiego albo na hojne finansowanie PiS.

Chcę być wobec Czytelnika szczery: prawdy nie zdołałem poznać. Zebrałem dostępne fakty oraz wiarygodne spekulacje, które padały z ust ludzi dobrze znających środowisko Morawieckiego. Po wielu miesiącach pracy wiem jedno: jeśli nawet Mateusz Morawiecki jest niewinny w sensie kamym, czyli nie przywłaszczył sobie ani jednej złotówki – co dopuszczam – to jest odpowiedzialny za stworzenie środowiska, które zostało wychowane, wyćwiczone oraz zorganizowane w taki sposób, że już tylko jeden krok dzielił go od tego, aby stać się zorganizowaną grupą przestępczą.

Ta historia wciąż czeka na swoje zakończenie. Czy prowadzącym śledztwo prokuratorom starczy jednak odwagi, by oskarżyć najbliższych współpracowników byłego premiera z obozu, który już szykuje się na powrót do władzy?

KSIAŻKA



Jacek Harłukowicz,
„Chłopcy z ferajny”,
Wyd. Czerwone i Czarne



FOT. FOTOS Z FILMU

Jan Borowiec, reżyser filmu (z lewej) w trakcie poszukiwań zaginionej przedwojennej superprodukcji z 1930 roku – „Gwiazdzista eskadra”

NAJDROŻSZY FILM II RP

– Natrafiłem na sporą grupę pasjonatów lotnictwa. Marzą o tym, żeby ten film odnaleźć – opowiada Jan Borowiec, reżyser filmu „Tajemnice Gwiazdzistej Eskadry”.

Maciej Szymkowiak

Skąd pomyśl, żeby wyruszyć na poszukiwanie „Gwiazdzistej eskadry”?

Pracowałem wtedy razem z Michałem Wójcikiem, współtwórcą scenariusza do „Tajemnicy Gwiazdzistej Eskadry”. Zajmowaliśmy się wówczas serialem dokumentalnym o zaginionych polskich dziełach sztuki i obiektach kultury, który ostatecznie nie trafił do produkcji. W związku z ogromną pracą wykonaną i przygotowaniem tematów na dziesięć odcinków, postanowiłem, że przynajmniej jeden z nich wyjmę z tego całego zbioru i rozwinę w formie filmu dokumentalnego. I tak właśnie się stało – to jest właśnie opowieść o filmie „Gwiazdzista eskadra”.

A co pana najbardziej zaskoczyło w opowieściach o mega-produkcji tamtych lat?

Na studiach przeczytałem książkę „Dług honorowy” o amerykańskich lotnikach,

którzy walczyli w obronie Lwowa. To jest fantastyczna książka, napisana przez dwójkę autorów kanadyjskich – Roberta Karolevitz i Ross Fenn. W wydaniu, które miałem, była na samym końcu jeszcze jedna książka – z lat 20., taka sensacyjna, awanturnicza powieść polska, wydana tuż po wojnie polsko-bolszewickiej. Pomyślałem, że to fantastyczna historia i chciałbym obejrzeć taki film. Jakiś czas później natrafiłem już w zupełnie innych okolicznościach na postać Meriana C. Coopera jako twórcy „King Konga”. I nagle to chwyciło. Zdałem sobie sprawę: „Zaraz, przecież to ten sam Cooper, który walczył w wojnie polsko-bolszewickiej!” I okazało się, że tak – to ten sam człowiek. To było pełne magii, a jeszcze większą magię poczułem, kiedy – pracując z Michałem nad serialem o zaginionych dziełach kultury – trafiliśmy na film „Gwiazdzista eskadra”,

który opowiada właśnie o Cooperze i o amerykańskich lotnikach.

Jak wyglądało filmowe śledztwo?

Zaczynałem od tego, że znalazłem przedstawicieli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, którzy we współpracy z Filmoteką Narodową rozpoczęli swoje poszukiwania wiele lat temu. Te poszukiwania się nie powiodły. Przynajmniej ja nie znalazłem żadnych informacji publicznych, że zakończyły się jakimś rezultatem. To był pierwszy kontakt. Chciałem znaleźć inne osoby, które również szukały tego filmu. Zacząłem więc szperać w internecie, w prasie, skontaktowałem się z Filmoteką Narodową. Powiedziałem im, że chcę zrobić film o poszukiwaniu zaginionego filmu, ale wtedy nie wiedziałem, jak się w ogóle takich filmów szuka. Pracownicy FINA zaczęli mi to tłumaczyć

i tak, po nitce do kłębka, poznałem ludzi, którzy dawali kolejne wskazówki. Powiedzieli mi: „Może warto sprawdzić grupy poświęcone zaginionym filmom czy artefaktom?”. Później: „A może warto poszukać czegoś na eBayu?”. I tak to się toczyło: od jednego tropu do drugiego. Po prostu poddałem się temu śledztwu.

W filmie pojawia się wątek, że Stalin nakazał zniszczenie kopii. Pan też rozmawiał z archiwum w Moskwie.

Mieliśmy zaplanowany wyjazd do Rosji, ale po agresji Rosji na Ukrainę po prostu zrezygnowaliśmy. Odradzało nam to także MSZ. To mogłoby się skończyć fiaskiem. Wydalibyśmy pieniądze, a równie dobrze mogliby nas tam nieprzyjemnie potraktować, skonfiskować sprzęt albo materiał. Ten temat wciąż jest żywy. Pomimo że film powstał 95 lat temu, a 85 lat temu zniknął – w czasie II wojny światowej – do dziś wydaje mi się, że on wciąż tam żyje. Pokazuje przecież sukces Polaków i Amerykanów, którzy wspólnie pokonali bolszewików.

Ten wątek mnie szczególnie zaciekał, bo na początku pani, z którą pan rozmawiał, jakby zasugerowała, że film jest, później, że trzeba wysłać oficjalne pismo. A kiedy pan je wysłał, odpowiedź była raczej zbywająca: że nie są w stanie sprawdzić, bo trwa remont.

Wie pan, ja mam podejrzenie graniczące z pewnością. Wziąłem telefon, zadzwoniłem do rosyjskiego archiwum. To chyba nie była moja pierwsza rozmowa z nimi, bo wcześniej nikt tam nie mówił po angielsku. Powiedzieli mi, że bym zadzwonił innego dnia. No i właśnie wtedy odebrała jakaś miła pani, która stwierdziła, że ten film mają. Ona mówi: „Tak, tak, mamy ten film”. Ja dopytuję: „Na pewno?”, a ona po chwili zawachania: „Tego nie wiem, proszę napisać zgłoszenie”. Po tem się okazało, że tego po prostu nie da się zrobić. Coś jest na rzeczy. Poza tym dotarliśmy też do świadectwa Jana Karskiego, który pisał o „Gwiazdzistej eskadrze”. Był tym filmem zafascynowany. Był nastolatkiem, gdy film był gromy w kinach. Zrobił na nim ogromne wrażenie. Na tyle duże, że opisał to w swoich wspomnieniach. Pisał, że to była duma Polski, która odzyskała niepodległość i pokonała bolszewików, a do tego pomogli w tym

Amerykanie. To w nim rezonowało. Karski właśnie opisał też wydarzenie, w którym NKWD we Lwowie wchodzi do kina. Kinooperator ukrywa filmy – w tym „Gwiazdzistą eskadrę” – nie chce oddać rolek funkcjonariuszom NKWD i zostaje za to zastrzelony. To cytat z Karskiego.

Był pan też w Stanach Zjednoczonych. Rozmach dystrybucji tego filmu był ogromny: z jednej strony trzeba się zwracać do Rosji, z drugiej szukać w archiwach w Polsce, a ostatecznie jeszcze jechać do USA.

Tak, to prawda. Jeśli chodzi o sam rozmach dystrybucji, to było jedno z naszych założeń, ale, jak pan widzi w filmie, nie ma na to jednoznacznego potwierdzenia. To trochę jak ze starymi gazetami i to jest zresztą cytat z mojego filmu. Jeden z archiwistów mówi tam, że kiedyś filmy traktowano jak stare gazety: ktoś obejrzał, były niepotrzebne, wyrzucano je. Nie przykładano wagi do samego nośnika, tak jak robi się to dziś. Teraz są archiwa, kolekcjonerzy, fundusze, digitalizacja. Wtedy tego nie było. Więc jeśli kopie faktycznie trafiły do Stanów Zjednoczonych, w co wierzymy, bo dlaczego miałyby być inaczej, to w większości mogły po prostu zostać wyeksploatowane i wyrzucone. To smutna konstatacja, ale tak wówczas traktowano filmy. Ich los był nietrwały. To, że coś się udaje odkryć, to zawsze ogromne szczęście, ale łatwiej znaleźć coś przypadkiem, niż odnaleźć coś, czego się szuka konkretnie. Taka już jest natura poszukiwaczy skarbów.

Pojawia się takie porównanie, że „Gwiazdzista eskadra” to pod względem rozmachu film na poziomie „Krzyżaków”, „Faraona”, czy nawet „Titanica”. Podczas dokrętek zginęły dwie osoby na lotnisku poznańskim, było trzech operatorów do jednego filmu. To jest rozmach, którym niewiele filmów może się w ogóle pochwalić.

Wrażenie robią zdjęcia lotnicze, chociaż jesteśmy do nich przyzwyczajeni, szczególnie odkąd pojawiły się drony, ale proszę sobie wyobrazić: prawie sto lat temu kamery przyczepione pod skrzydłami, pokazujące pi-kujący samolot strzelający do drugiego, albo kamery umieszczone w kokpicie, na twarzy pilota, który robi beczkę i widać na jego twarzy te wszystkie przeciążenia itd. To

były tego typu ujęcia: walki powietrzne, kilkadziesiąt samolotów. To wszystko było kręcone na lotnisku poznańskim, a w którejś hali przemysłowej robiono sceny atelierowe. Oni zbudowali całe miasta, wioski. W takiej skali modelarskiej, że domy miały może metr wysokości. Wszystko filmowane specjalnymi kamerami. Pożary, wybuchy, samoloty w powietrzu. No i tak jak pan wspominał – katastrofa lotnicza, zginęli ludzie. Pisały o tym gazety, zarówno w Chicago, jak i w Nowej Zelandii. To była naprawdę niebywała sprawa.

To był pierwszy polski film lotniczy.

Polacy byli drudzy na świecie. Bo parę lat wcześniej, chyba dwa, powstał film „Aniołowie piekieł” Howarda Hughesa, Edmunda Gouldinga, Jamesa Whale’a. Buczkowski pomyślał: „Amerykanie mogli zrobić film lotniczy? To ja też mogę!”. I rzeczywiście tak się stało. Przy czym to nie było tak jak dziś – że zatrudnił ekspertów z zewnątrz – miał pod ręką fantastyczną historię, scenariusz napisany przez dobrego pisarza, i zaczęli to robić. Musieli wszystko wymyślić: sprowadzić i testować specjalne kamery, zdobyć samoloty. Wojsko im niesamowicie pomogło. Janusz Meissner, autor scenariusza, w swoich wspomnieniach – w książce „Wiatr w poddeszwach” – opisuje, jak wyglądała ta produkcja: że im bombami nie wybuchały, a potem wybuchały w złym momencie. Wspomina, jak leciał samolotem, zrzucał bombę, a pirotechnicy spod ziemi mieli ją zdetonować, ale zrobili to za późno i urwało ogon w samolocie. No, to była produkcja niebywała.

Końcówka Pańskiego filmu: spotkanie z Dimą, gdzie pojawia się nadzieja znalezienia filmu. Ostatecznie okazuje się, że to jest „Szyb L-23” Buczkowskiego – też zaginiony film.

To jest tak, że znaleźć inny zaginiony film, to też coś. I ja też tak myślę, chociaż, jak mówię w filmie, szkoda, że nie szukałimy „Szybu L-23”, bo może przez przypadek znaleźlibyśmy „Eskadrę”. Taki chichot losu. Proszę sobie wyobrazić, że to też niesamowita historia filmowa. Buczkowski zrobił coś w rodzaju polskiej wersji filmu „Aż poleje się krew”, tego amerykańskiego o poszukiwaczach ropy naftowej. To była taka polska wersja, romans syna jednego potentata naftowego z córką drugiego. Oczywiście zakazana miłość, a wszystko dzieje się w zagłębiu naftowym w okolicach Drohobycz, dziś Ukraina, wtedy Polska. To był taki polski „Dziki Zachód”. Odkryliśmy brakującą część tego filmu, bo część była w Polsce, a część, jak się okazało, w Rosji. Udało się to złożyć.

TERAZ FILM BĘDZIE MIAŁ SWOJE
OKNO FESTIWALOWE. POTEM
TRAFI DO TELEWIZJI POLSKIEJ,
KTÓRA JEST KOPRODUCENTEM,
ORAZ DO FILMOTEKI NARODOWEJ.

TOP GUN Z 1920 ROKU: GWIAZDZISTA ESKADRA

Siedemnastu amerykańskich pilotów walczyło z biało – czerwonymi szachownicami w 7 eskadrze. Ściągnął ich Merian Cooper, który pisał, że nazwa żadnego innego kraju nie ma w sobie tyle romantyzmu co słowo „Polska”

Grzegorz Okoński

Cooper także miał zadeklarować marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, że chciałby działać w Polsce tak, jak Kościuszko i Pułaski działali w jego kraju. Amerykańscy piloci mocno dali się we znaki rosyjskim żołnierzom w czasie wojny 1920 roku, a dzięki nim godło 7 Eskadry z kosami i rogatywką kościuszkowską malowane było później z dumą na słynnych myśliwcach, PZL P-11c, obrońcach wrzesniowego nieba w 1939 roku, Hawkerach Hurricane Dywizjonu 303 z czasu Bitwy o Anglię i współcześnie - na MiG-29.

Początki lotnictwa polskiego nie były łatwe, bo musiało ono oprzeć się wyłącznie na maszynach z zakupów z demobilu pierwszowojennego i zdobywczych, a pamiętających jeszcze walki i wojny światowej. Zakłady przemysłowe w Polsce były mocno zniszczone, nie było żadnych zasobów materiałowych, a w czasie walk z Niemcami, Ukraińcami i Rosjanami, nie było możliwości i czasu, by wyposażać w nowoczesny sprzęt formowane jednostki lotnicze. Nie można było też liczyć za bardzo na zakupy zagraniczne, bo oferowano nam nie tylko samoloty mocno zużyte, ale jeszcze w drodze do Polski transporty padały ofiarą aktów sabotażu. Jeszcze 21 czerwca 1941 roku dwujęzyczny tygodnik „Ogniwo Przyjaźni”, wydawany w Glasgow, pisał o samolotach tamtych czasów - „aparaty te bowiem, to szmeln wojenny, zbieranina najrozmaitszych rodzajów maszyn austriackich, niemieckich, włoskich, holenderskich, angielskich, francuskich, przeważnie typy przestarzałe, dawno wycofane z obiegu, remontowane niemal ślusarskim sposobem, częstokroć żmudnie składane z różnych, należących do wielu typów części składowych. Na tych samolotach, na których widok przedstawicieli misji alianckich w Polsce wpadali w zdumienie, lotnicy polscy wykonują niezwykłe ofiarne zadania, przeprowadzają loty bojowe i wywiadowcze, bombardowania dworców kolejowych i skupisk armii rosyjskiej, a nawet stają się prekursorami nowoczesnego sposobu użycia lotnictwa jako broni szturmowej w natarciu na oddziały lądowe”...

W Polsce sformowano jednak kilka eskadr bojowych, które od razu brały udział w działaniach wojennych. Znakomity pisarz Janusz Meissner podsumował w „Albumie dziesięciolecia lot-

nictwa polskiego” w 1930 roku, że „szczególnie na froncie południowo-wschodnim, w walkach z hordami Budionnego, lotnictwo nasze oddało nieocenione usługi (...) W walkach tych śmierć lotniczą znalazło 120 lotników polskich i trzech oficerów Amerykanów z 7-ej Eskadry Lotniczej imienia Kościuszki, która walczyła pod dowództwem płk. G. Fauntleroy’a”. Kim byli ci Amerykanie? Cofnijmy się do roku 1918, do 31 października...

Z poznaniakami o Lwów

Wówczas ukraińscy nacjonaliści opanowali na krótko Lwów, czemu sprzeciwili się stanowiący większość polscy mieszkańcy miasta. Doszło do walk o miasto, a następnie w innych miejscach Galicji. Amerykański Urząd Pomocy skierował z Warszawy do Lwowa transport z żywnością, prowadzony przez młodego, 25-letniego lotnika, kapitana Meriana Coldwella Coopera. Ten mąkę i żywność dowiózł, ale dopiero wtedy gdy - jak pisał - walczył wspólnie z batalionem Polaków z Poznania i po kilku dniach ciężkich walk przebił się do miasta. Cooper - w którego żyłach płynęła krew prapradziadka, pułkownika kawalerii Johna Coopera, który towarzyszył w 1779 roku Kazimierzowi Pułaskiemu, który wcześniej uczył go szermierki i który mógł też znać Tadeusza Kościuskę - poczuł, że musi coś zrobić dla Polaków, w tak fatalnych warunkach bohatersko walczących o Lwów. Gdy udało się zapewnić regularne dostawy do Lwowa, Cooper zwolnił się ze służby w zaopatrzeniu i natychmiast poprosił o przydział do lotnictwa lub piechoty polskiej, walczącej z bolszewikami. Walka nie była dla niego nowością, bo w czasie I wojny światowej latał bojowo i został zestrzelony na bombowcu DH4. Lądował przymusowo płonącym samolotem za liniami niemieckimi - po czym pozostał mu blizny po oparzeniach na twarzy i rękach. Teraz zdeterminowany dotarł do samego Józefa Piłsudskiego, proponując, że natychmiast wystąpi z Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych

i wstąpi do polskiego lotnictwa, nie jako najemnik, lecz za polski żołd, jako polski oficer. Aligator Joe - bo taki miał pseudonim w czasie studiów w Akademii Marynarki w Annapolis (nie ukończył jej, miał kłopoty z dyscypliną i niezbyt celujące oceny), wcześniej odrzucił możliwość nominacji oficerskiej, bo tak bardzo chciał zostać starszym szeregowym lotnictwa. Teraz w Paryżu spotkał się z majorem Cedricem Fauntleroyem, pilotem słynnej 94 eskadry Hat in Ring, który dostał przydział doradcy technicznego w misji w Warszawie. Powiedział mu, że chciałby zorganizować oddział lotników - ochotników i walczyć z nim w polskich szeregach. Major uznał to za świetny pomysł. Obaj dotarli do generała Tadeusza Rozwadowskiego, znanemu Cooperowi jeszcze z Lwowa, a teraz będącego szefem Polskiej Misji Wojskowej we Francji. Rozwadowski pomysł podchwycił i wystawił im list, na mocy którego major i kapitan mieli stać się na rok oficerami polskiego lotnictwa i otrzymali pełnomocnictwo do zwerbowania jeszcze siedmiu innych pilotów.

Obaj Amerykanie nie próżnowali - odwiedzali paryskie lokale, gdzie prześiadali amerykańscy oficerowie i oferowali perspektywy służby w Polsce: z małym żołdem, nieznanym językiem, niepewnym wyżywieniem i zakwaterowaniem, a do tego - ze służbą przeciwko okrutnemu i nieprzewidywalnemu wrogowi. Znaleźli i przekonali George’a M. Crawforda, jednego z pierwszych lotników amerykańskich we Francji, Kennetha O. Shrewsbury’ego, prawnika z Harvardu, Edwarda C. Corsi, pilota myśliwskiego Spada, Carla H. Clarka - trzydziestolatka, najstarszego w grupie i Edwina Lawrence’a Noble’a. Dołączył do grupy także Arthur A. Kelly, który nie był pilotem, lecz obserwatorem, za to z dwoma zestrzeleniami w czasie I wojny na koncie. Ci właśnie oficerowie założyli rogatywki i szyły na miarę mundurów Błękitnej Armii generała Hallera - Armii Polskiej we Francji, a w nich stawili się na spotkanie z samym Ignacym Pade-

rewskim i na bankiet z generałem Rozwadowskim i księciem Kazimierzem Lubomirskim. Prasa nazwała ich wówczas pilotami Eskadry Kościuszkowskiej, łącząc z historią polskiego ochotnika walczącego niegdyś o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Serii ważnych spotkań dopełniła wizyta w Belwederze w Warszawie, gdzie przyjął ich Józef Piłsudski, który, choć nie przepadał za lotnictwem, obiecał, że postara się, by amerykańskich pilotów jak najszybciej włączono do czynnej jednostki lotniczej.

Amerykanie, do których już w Polsce dołączyli Edmund Pike Graves, instruktor akrobacji powietrznej i Elliott William Chess, kurier lotniczy, trafili 17 października 1919 roku do Lwowa, gdzie przydzielono ich do latającej na austriackich Albatrosach DIII (Oeffagach 253) 7. Eskadry. Jej dowódca, porucznik Ludomił Rayski przekazał dowództwo majorowi Fauntleroyowi, a sama eskadra zmieniła nazwę z 7-mej na Eskadrę Kościuszkowską. Oprócz dziesięciu Amerykanów znalazło się wówczas w niej sześciu polskich oficerów - Rayski, Zbigniew Orzechowski (nielatający adiutant), Władysław Konopka, Aleksander Seńkowski, Jerzy A. Weber i Ludwik A. Idzikowski. Eskadra zajęła lotnisko Lewandówka koło Lwowa.

Niestety 22 listopada, w czasie obchodów rocznicy wyzwolenia Lwowa, zginął pierwszy z ochotników, porucznik Graves: lotnicy przelecieli wówczas nad lwowianami w szyku w kształcie litery V, a następnie trzech z nich przeprowadziło krótki pokaz akrobacji -



Merian Cooper i odznaka zaprojektowana

wtedy w samolocie Gravesa zламаło się skrzydło, a samolot wbił się w pałac Potockich, grzebiąc w swych szczątkach pilota. Miejsce Gravesa zajął po kilku dniach porucznik Harmon Rorison, mający na koncie trzy zestrzelenia czasu wojny.

Gwiazdzista Eskadra

Jeszcze we Lwowie Kościuszkowska Eskadra otrzymała specjalne godło, które malowano na kadłubach jej myśliwców: wymyślił je porucznik Chess, szkicując na odwrocie menu hotelu George we Lwowie czerwono - białą - niebieską tarczę z trzynastoma gwiazdami i trzynastoma pasami, a także z rogatywką kościuszkowską i skrzyżowanymi kosami. I do tego właśnie godła nawiązała późniejsza nazwa „Gwiazdzistej Eskadry”...

Pierwsze zadanie eskadra dostała 28 stycznia 1920 roku, lecz nie miało ono bojowego charakteru - trzeba było dostarczyć ważne informacje do polskiej jednostki w Tarnopolu, ponad sto



Cedric E. Fauntleroy, Merian C. Cooper, Edward Corsi, George M. Crawford, Kenneth O. Shrewsbury, Carl H. Clark, H.C. Rorison, E. Noble

„...TOTEŻ BILI SIĘ WSZYSCY, JAK LWY,
W OBRONIE TEGO BOHATERSKIEGO
MIASTA” - MERIAN COOPER O WALKACH
O LWÓW Z BUDIONNYM, W 1920 ROKU



FOT. BILL SIMPSON / AMBERLEY PUBLISHING EAST NEWS

na przez Chessa, malowana na kadłubach Albatrosów i Ansaldo Balilli Eskadry Kościuszkowskiej

kilometrów na wschód od Lwowa. Nie był to jednak udany debiut - pechowo uszkodzono wówczas trzy samoloty!

Na pierwsze zadanie bojowe czekano do 10 kwietnia - wówczas pięć Albatrosów zaatakowało stanowisko dowodzenia i koncentrację wojsk rosyjskich w rejonie węzła kolejowego w Czudnowie, na wschód od Połonnego. Piloci z zadowoleniem ostrzelali zaskoczonych Rosjan a Rorison, jedyny, którego samolot miał przewozić wyrzutnik bombowy, zrzucił 12-kilogramową bombę.

- Stacja była zawałona wojskiem - pisał Cooper. Ja skierowałem się ku furmankom z transportami, które naraz zaczęły się prędko rozjeżdżać. Otworzyłem ogień z obydwu moich kulomiotów i zacząłem prażyć w te furmanki z transportami. (...) Gdy po wróciłem, zobaczyłem, że pociąg wyjeżdża ze stacji, a Rorison jedzie obok niego i praży z kulomiotów. Przyszedłem mu z pomocą - zacząłem prażyć w lokomotywę z kulomiotów, aby sprzątnąć maszynistów, a następnie puściłem się wzdłuż pociągu i prażyłem w okna wagonów. Ilu ich tam padło, nie wiem...

Lotnicy Eskadry polowali później na stacje kolejowe (w Berdyczowie skutecznie ostrzelali pociąg pancerny) i na oddziały kawalerii. Nie było to bezpieczne, bo Rosjanie szybko nauczyli się ustawiać karabiny maszynowe i armaty do strzelań przeciwlotniczych, a nawet prowokowali ataki na wystawionych na wabia jeźdźców, w pobliżu ukrytych stanowisk przeciwlotniczych.

W jednej z takich potyczek zginął kapitan Kelly - 14 sierpnia wraz z porucznikiem Rayskim atakowali kolumnę jeźdźców, liczącą - jak oceniali - 1500 ludzi. Merian Cooper pisał, że - „pomimo, że grzali nieprzyjaciela i za-

atakowali nieprzyjaciela z kulomiotów i kilka bomb nań rzucili robiąc poważne luki w szeregach, nieprzyjacieli nie schodził z pola i coraz celniejszymi strzałami odpowiadał na atak”. Następnego dnia Kelly ponownie poleciał - wraz z pilotem z 21. eskadry, dwumiejscowym samolotem: gdy w taki sam sposób atakowali z lotu koszącego kawalerię rosyjską, zostali trafieni i zestrzeleni. Obaj lotnicy zginęli.

Tego samego dnia eskadra straciła także kapitana Ciecierskiego, który został zestrzelony, jednak zdołał przymusowo wylądować i dostał się do niewoli. Tam zбитy, pędzony po przytroczeniu do konia, zdołał po jakimś czasie zbiec i dopiero po kilku miesiącach, obdarty i zarośnięty, wrócił do eskadry. Major Fauntleroy również przeżył niebezpieczną przygodę, gdy 16 lipca nad drogą Łuck - Limanów zaatakował oddział kozaków. Otrzymał silny ogień z ziemi, a pociski przedziurawiły zbiornik paliwa. Dowódca przełączył szybko zasilanie na zbiornik zapasowy i tak na postrzelanym samolocie dociągnął do polskich linii. Dwa dni później porucznik Crawford także oberwał w zbiornik paliwa, lecz nie mógł przełączyć na zapasowy - lądował więc przed zaskoczonymi kozakami. Udało mu się - leciał pod wiatr i w chwili trafienia był na wysokości może 75 metrów - i wyskoczył z kabiny, chcąc uciekać do pobliskiego lasu. Jeźdźcy jednak szybko ruszyli do niego i tylko pomoc ze strony nadlatującego kapitana Corsiego uratowała. Crawford wrócił do samolotu, udało mu się uruchomić silnik, przełączyć na zbiornik zapasowy i mocno nadwyrężając podwozie - wystartować! Eskortowany przez Corsiego, dotarł na lotnisko.

Eskadra Kościuszkowska walczyła z Rosjanami do 23 września, przede wszystkim prowadząc loty rozpo-

znawcze i szturmowe. Straciła pięciu pilotów, ale też 25 maja jako pierwsza dostrzegła i meldowała o zbliżającej się Armii Konnej Budionnego, a przypisana do Frontu Południowego skutecznie broniła Lwowa, zaciekle atakując oddziały bolszewickiej kawalerii. Po zakończeniu działań wojennych Amerykanie zostali zdemobilizowani i wrócili do Stanów Zjednoczonych, Eskadra zaś w 1925 roku została przemianowana na 121 eskadrę myśliwską.



FOT. HTTPS://AUDIOVIS.NAC.GOV.PL

Marszałek Józef Piłsudski odznacza orderem Virtuti Militari oficerów Eskadry Kościuszkowskiej. Pierwszy z prawej - Cedric Fauntleroy



FOT. ARCHIWUM

Albatrosy DIII w wersji Oeffag serii 253 były pierwszymi myśliwcami Eskadry Kościuszkowskiej

Tamten październik był pod tym względem znaczący. Najpierw śmiertelnie poważnie celebrowano rozpoczęcie XI Konkursu Chopinowskiego (zwyciężył Rosjanin Stanisław Bunin), potem rytualnie fetowano Ludowe Wojsko Polskie, wreszcie głosowano w wyborach do Sejmu. Na tym tle premiera komedii erotycznej była czymś tak odmiennym, że publika rzuciła się do kin w nadziei, że oto czas na uciechę. I taka uciecha była, choć dawkowana nader skąpo.

„Koncesjonowanie”

Władze Polski Ludowej eksperymentowały z seksem wyjątkowo ostrożnie. Może i w głowach niektórych towarzyszy świeża myśl o „seksualnej modernizacji” narodu, ale wobec ideowego konserwatyzmu partii pozostawali zwykle cicho. Do tego dochodził głos Kościoła katolickiego, w latach 80. ciągle dość znaczący. Stąd ówczesne podejście rządzących do „tych spraw” nazwać można „koncesjonowaną rewolucję seksualną”.

„Wobec braków zaopatrzeniowych utrudniających realną konsumpcję społeczeństwo (a właściwie jego męska, heteroseksualna część) oddawało się zastępczej konsumpcji wizualnej. Ciało młodych, atrakcyjnych kobiet podziwiano w telewizji, filmie, na łamach prasy, a także w przestrzeni prywatnej i półprywatnej na kalendrach, plakatach i gadżetach z tzw. gołą babą” – pisze Anna Dobrowolska w tekście „Koncesjonowana rewolucja seksualna? Przemiany obyczajowości w dyskursie medialnym późnego PRL”.

I dalej: „Upłciowione hierarchie kultury wizualnej, podporządkowane męskiemu spojrzeniu, odbijały i utrwały patriarchalne normy obecne również w innych obszarach życia społecznego”.

Sporą rolę odgrywała też kasa. „W latach 80. bowiem przynoszenie zysków przez zespoły filmowe stało się jednym z priorytetów, a więc – w myśl zasady sex sells – wplatanie do filmów wątków seksualnych mogło się przyczynić do frekwencyjnego i komercyjnego sukcesu” – dodaje dr Karol Jachymek, tropiciel seksu w kinie polskim.

Bulgoczący seks

„Od teatru do Giesu
Coraz więcej jest sexcesów
Podziwiamy więc do spółki
Gołe girlsy to znów polki”

– tak śpiewał w 1985 r. Tadeusz Drożdża w Telewizji Polskiej. Piosenka została skomponowana na potrzeby programu rozrywkowego „Sexcesy”, który miał oswajać naród z myślą, że po trudzie budowania socjalizmu można sobie lekko pofolgować w sferze intymnej.



„Och, Karol” miał przyzwyczaić społeczeństwo do delikatnej materii, jaką jest seksualność i w opinii tych, co zadecydowali o jego powstaniu, taką rolę spełnił

PÓŹNY PRL O LEKKIM ZABARWIENIU EROTYCZNYM

21 października 1985 r. do kin weszła komedia erotyczna „Och, Karol”. W PRL-owskiej siermiedze niekończącego się kryzysu gospodarczego władza puszczała oko do obywateli: „nie ma mięsa, ale seks mamy jak na Zachodzie”

Mariusz Grabowski

Nagość można było zauważyć w mediach, latem na plażach nudystów w Chałupach, rozslawionych w 1985 r. przez Zbigniewa Wodeckiego w piosence „Chałupy Welcome to”, ale nie tylko – w niedalekich Rowach odbywały się coroczne wybory Miss Natura, na które ściągало mnóstwo ciekawskich. Pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Naturystycznego zaczęły powstawać tzw. Kluby Samotnych, na łamach prasy pojawiały się doniesienia na temat raczkującego jeszcze ruchu swingersów, nawet w „Kolekcjonerze Polskim” publikowano dość odważne anonse towarzyskie

Seks, tzw. artystyczny, propagowano już w latach 70. na wystawach „Venus” w Krakowie. Rozpalały emocje do tego stopnia, że do sali ekspozycyjnej dokonywano regularnych włamań i kradziono fotografie. Najbardziej jednak gusta erotyczne rodaków wyznaczała „Sztuka kochania” Michaliny Wisłockiej (ukazała się po raz pierwszy

w 1978 r.), a dekadę później fala pornografii królująca na kasetach magnetowidowych, masowo przywożonych do Polski z Niemiec. Erotyzacji uległa też literatura. W 1983 r. na rynku wydawniczym ukazała się m.in. skandalizująca powieść „Raz w roku w Skiroławkach” Zbigniewa Nienackiego, w której ten opisał bujne i osobliwe życie seksualnego mieszkańców tej wyobrażeniowej krainy.

Szczęśliwy Karol?

Nic dziwnego, że na propozycję nakręcenia komedii erotycznej, która „korelowałaby z ludzkimi potrzebami”, władze spojrzwały z życzliwością. Pomysł zrodził się w powstałym w 1984 r. Studiu Filmowym Oko. Na reżysera wyznaczono Romana Załuskiego, „specja od komedii”, a scenariusz napisała Ilona Łepkowska.

W scenariuszu miało być pikantnie i było, choć na ekranie golizna pojawiała się rzadko i z pewnością nie zaspokajała za-

ostrzonych apetytów. Fabuła wije się w lekkiej nierzeczywistości – niby to PRL-owska Warszawa, ale wyretuszowana, wy różowiona, bez widocznych symptomów walki z niedoborem konsumpcyjnym. Ludzie są uśmiechnięci, zadowoleni, mają chęć na życie i – rzecz jasna – na seks. Polityki na ekranie nie ma, podobnie jak odniesień religijnych i transcendentnych.

Bohaterem jest Karol Górski, który choć jest żonaty, spotyka się z kilkoma innymi kobietami w celach uprawiania erotycznych figlów. Żona, Maria, cierpliwie to znosi, lecz jej cierpliwość się kończy. Pewnego dnia Karol nieoczekiwanie zostaje w domu Marię, Paulinę, Irenę i Wandę – każda z nich troszczy się o niego, losując nawet, która ma spać z Karolem. To początek kłopotów, które zwał się na jego zaprzątą erotyką głowę...

Bukiet piękności

Twórcy dzieła postarali się o jego urozmaicenie w różnych

aspektach. Niewiernego męża i kochankę Karola zagrał Jan Piechociński, uważany w owym czasie za czołowego amanta Polski Ludowej. Wokół niego skomasyowano urodziwe panie: Danutę Kowalską, Ewę Sałacką, Dorotę Kamińską, Martę Klubowicz i Jolantę Nowak. Piosenkę tytułową autorstwa Seweryna Krajewskiego śpiewała Urszula.

Przyjaciela Karola, safandulowatego nieudacznika i pechowca w relacjach z kobietami zagrał Zdzisław Wardejn, a poza tym przez ekran przewija się armia aktorskich figur. Z czego wynika, że „Karola” kręcono „na bogato”.

Zdjęcia zrealizowano w prestiżowych wtedy miejscach stolicy: m.in. w kawiarniach „Telimena” i „Tokaj”, w hotelach „Forum” i „Metropol”, na Ścianie Wschodniej w wersji bulwarowej. Przeciętny Polak, zmęczony stanem w kolejkach i wiązaniem końca z końcem, mógł pokibicować Karolowi w jego seks przygodach.

Bez sensu? Co z tego

Ówczesna „erotyka sama w sobie mogła stanowić satyryczny komentarz do kryzysowej rzeczywistości” – zauważa Anna Dobrowolska i świetnie pasuje to do filmu Załuskiego. „Och, Karol” jest przecież komedią, której autorzy mają prawo do lekko zniekształconej wizji świata. Przygody Karola Górskiego są – z punktu widzenia zwykłego zjadacza chleba – dość absurda, ale w połączeniu z unoszącą się nad nimi atmosferą erotyzmu niezwykle kuszące.

Aż dziw, że krytycy kręcili na film nosem. Publiczność waliła do kin tłumem, a tu w „Filmie” (wtedy opiniotwórczym medium) Elżbieta Ciapara pisała: „Film składa się z szeregu scenek, raczej smutnych niż wesołych, luźnie powiązanych... W kryzysie polskiej kinematografii i nieudana komedia może być hitem”. Inni krytykowali „Karola” jeszcze kąśliwiej, nie zdając sobie chyba sprawy, że jego poziom reżysersko-fabularny nie ma ostatecznie żadnego znaczenia.

„Och, Karol” miał przyzwyczaić społeczeństwo do delikatnej materii, jaką jest seksualność i w opinii tych, co zadecydowali o jego powstaniu, taką rolę spełnił (Piotr Zwierzchowski nazywał to zjawisko „oswajaniem tabu seksualnego w kinie PRL”). Dostarczył rozrywki, zaprzął wyobraźnię, wyciszył nastroje. Co z tego, że fabuła nie miała sensu. Ważne, że było „europejsko” i że „księża się wkurzali” – pod taką opinią mogli by się w stu procentach podpisać dzisiejsi liberałowie.

Nagość bez tabu

W drugiej połowie lat 80. erotyka była już widoczna w przestrzeni społecznej PRL. Na okładce pierwszego numeru „Playboya” ze stycznia 1987 r. znalazło się co prawda zdjęcie nagiej kobiety odwróconej do czytelnika tak, że widoczne są jedynie jej pośladki, ale wewnątrz pisma nie pozostawiało wątpliwości do do jej anatomii.

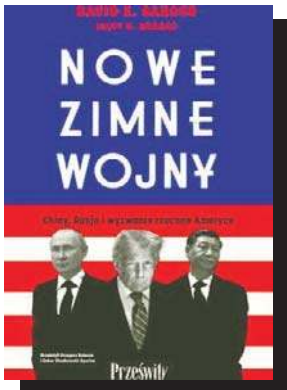
W 1989 r., cztery lata po „Karolu”, do kin weszła „Sztuka kochania” w reż. Jacka Bromskiego, historia seksuologa Olgierda Pasikonika (Piotr Machalica), którego nie idzie w sprawach łóżkowych. Tu już nie ma niedopowiedzeń jak w filmie Załuskiego – tu seks nie ma żadnych tabu, a wątków komediowych jest jak na lekarstwo.

„Nagość w polskim kinie tamtych czasów nie była już tematem tabu. Kobięta nagość pojawiała się niemal w każdym filmie. Przyglądając się kinematografii pochodzącej z tamtego okresu, próżno szukać estetycznej pięknych przedstawień erotycznych. Charakterystyczny dla kina tej epoki jest obraz kiczowaty, miejscami toporny” – dododzi Jachymek.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

*poleca
Agaton Koziński*



Dogmaty i anomalie zimnej wojny. Wtedy i teraz

Właściwie nie ma tygodnia, byśmy nie usłyszeli o kolejnych napięciach na linii USA-Chiny. Cła, opłaty portowe, metale ziem rzadkich, zakaz eksportu najbardziej zaawansowanych technologii, manewry wojskowe wokół Tajwanu – terminy, kiedyś funkcjonujące jedynie w świecie ekspertów od spraw międzynarodowych, stały się codziennością serwisów informacyjnych. Wojna rosyjsko-ukraińska przyspieszyła ten proces, który staje się najbardziej charakterystyczną cechą trzeciej dekady XXI wieku.

I właśnie o nim pisze w swojej książce David E. Sanger. Słowo o autorze, jednym z najbardziej doświadczonych amerykańskich reporterów, publikującym od kilku dekad w „New York Times”. Jego „Nowe zimne wojny” to właśnie owoc reporterskiej pracy. Sanger miał możliwość podróżowania między USA, Europą i Bliskim Wschodem. Jako reporter mógł pojawiać się w kuluarach podczas najważniejszych spotkań, miał tam dostęp do najważniejszych polityków. Wszędzie gromadził wiedzę – a teraz ją prezentuje. Już chochy pod tym względem jego książka jest ważna. Ciekawie napisana synteza zdarzeń ostatnich lat, która doprowadziła do obecnej sytuacji, określonej jako „zimna wojna 2.0”.

Ale też nie można sprowadzić publikacji Sanger’a do prostej syntezy. Autor wykazuje się nie tylko darem obserwacji i syntezy, ale także do analizy rzeczywistości. Pisz, co naturalne, z perspektywy mieszkańca USA, więc punkt patrzenia Waszyngtonu znajduje się na planie pierwszym. A Sanger dowodzi, że jest świetnie poinformowany – choćby jego opis tego, jak USA dowiedziały się o tym, że Rosja uderzy na Ukrainę w lutym 2022 r., robi ogromne wrażenie ze względu na jego szczegółowość (przy okazji zresztą ten opis to de facto akt oskarżenia wobec administracji Joe Bidena, która ataku spodziewała się pół roku wcześniej, a mimo to nie miała pomysłu, jak mu zapobiec).

Książka uzmysławia też ryzyko stojące przed Polską. Autor szuka analogii z zimną wojną. Dosłownie. Wprost taki zwrot w niej nie pada, ale czuć, że dla niego granica między dwoma blokami przebiega nie wzdłuż Bugu, ale wzdłuż Łaby – jak do 1989 r. Z perspektywy Sanger’a Europa to przede wszystkim Niemcy. Precyzyjniej: właściwie tylko Niemcy, może jeszcze trochę Wielka Brytania. Innych krajów na naszym kontynencie dla niego nie ma, nazwy pozostałych państw pojawiają się jako terminy geograficzne, a nie podmioty polityczne. Nie trzeba dodawać wiele, by zrozumieć, jak groźny jest dla nas ten sposób myślenia.

David E. Sanger, Mary K. Brooks „Nowe zimne wojny. Chiny, Rosja i wyzwanie rzucone Ameryce”, wyd. Prószyński, Warszawa 2025



Literacki przewodnik po Włoszech

Herling-Grudziński od 1955 r. do śmierci w 2000 r. żył we Włoszech. W tej książeczce zaprasza nas na spacer po najciekawszych zabytkach Italii. Gustaw Herling-Grudziński „Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 59,90 zł



O snajperze, który zatrzymał Sowietów

505 Rosjan zginęło od strzałów Simo Häyhä’y. Fiński snajper był jednym z bohaterów wojny zimowej z ZSRR w 1939-1940. Teraz poznajemy jego biografię.

Petri Sarjanen „Biała Śmierć. Najskuteczniejszy snajper w historii”, wyd. Replika, Poznań 2025, cena 54,90 zł



Nieznane rysunki i szkice Kajka i Kokosza

Absolutna gratka dla fanów twórczości Janusza Christy. Tomik „Kajka i Kokosza” zawierający nieznane wcześniej rysunki, który autor tworzył pracując nad postaciami. Janusz Christa „Kajko i Kokosz. Szkice i rysunki”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 119,99 zł



Czy jest możliwy świat bez wojny?

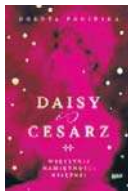
Wizja wojny przyszłości kreślona przez autora z doświadczeniem walk w Wietnamie. Haldeman w swojej powieści stawia przy okazji ważne pytanie: czy jest możliwy świat, z którego wyeliminowano konflikty?

Joe Haldeman „Wieczny pokój”, wyd. Rebis, Poznań 2025, cena 54,99 zł



Skąd się wziął serial „Wojna domowa”?

Biografia Miry Michałowskiej, PRL-owskiej dziennikarki, autorki scenariusza do serialu „Wojna domowa”. Opowieść o życiu elity Polski Ludowej. Monika Ksieniewicz-Mil „Mira. Kobieta światowa. Opowieść o M. Michałowskiej”, wyd. W.A.B., Warszawa 2025, cena 69,99 zł



Niezwykłe życie wyjątkowej księżnej

Każdy, kto zna pałac w Pszczynie, nie ma wątpliwości, że księżna Daisy była osobą niezwykłą. Ta książka ze szczegółami opisuje jej wyjątkowość.

Dorota Ponińska „Daisy i cesarz. Wszystkie namietności księżnej”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 54,99 zł



Brutalny Sopot i historyczne przełomy

Kolejny tom bestsellerowej serii „Kolory zła”. W „Zieleni” Sobczak zabiera nas do Sopotu, gdzie obsesyjna miłość miesza się z historycznymi zdarzeniami i brutalną zbrodnią.

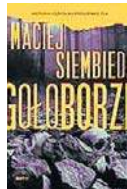
Małgorzata Oliwia Sobczak „Kolory zła. Zieleń”, W.A.B., Warszawa 2025, cena 54,99 zł



Ludzkość w epoce Wielkiego Exodusu

Kolejny tom cyklu „Głębia”, nad którym unosi się silny duch „Diuny”. Świat zamieszany przez ludzkość od dawna przekroczył granicę naszej galaktyki. Jak wygląda życie po Wielkim Exodusie?

Marcin Podlewski „Głębia. Imprint”, wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2025, cena 69,90 zł



Powieść o Łysej Górze z szekspirowskim zębem

Maciej Siembieda pierwszą książkę opublikował mając 56 lat - ale szybko zdobył pozycję uznanego autora. Teraz ukazała się jego najnowsza - i najbardziej osobista - powieść. O Łysej Górze. Maciej Siembieda „Gołoborze”, wyd. Znak, Kraków 2025, cena 54,99 zł



Jak to się robi na Żywiecczyźnie?

Kryminał ułożony na grubiej podszwewce z lokalnych wierzeń i górskich zwyczajów. Autor umiejętnie odtwarza klimat życia na Żywiecczyźnie, kontrastując to z doświadczeniami miasta.

Michał Zgajewski „Czarnobogi”, wyd. Agora, Warszawa 2025, cena 49,99 zł



Śmierć, lekarz i postępowanie sądowe

Autorem tej książki jest lekarz medycyny sądowej, który barwnie opisuje niuanse swej pracy. Skupia się przede wszystkim na śmierci. Co martwe ciało mówi lekarzowi? Philippe Boxho „Rozmowa z denatem”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2025, cena 49,90 zł



Zorro kontra bezwzględny El Rojo

Komiksowa wariacja na temat znanego schematu z zamaskowanym mścicielem Zorro. Meksykańskie miasto jest terroryzowane przez bezwzględnego El Rojo. Czy ktoś zdoła uwolnić mieszkańców od niego?

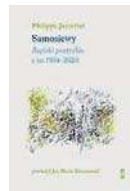
Sean Murphy „Zorro. Z martwych”, wyd. Egmont, Warszawa 2025, cena 89,99 zł



Oswajanie własnego mózgu

Jak dbać o zdrowie psychiczne? Najlepiej zaprzyjżniając się z własnym mózgiem. Seria porad, jak to zrobić.

Rachel Barr „Zaprzyjżnij się ze swoim mózgiem. Jak żyć zdrowiej i szczęśliwiej dzięki odkryciom neurobiologii”, wyd. Buchmann, Warszawa 2025, cena 69,99 zł



Poetyckie rozważania na temat wiary

Rzadko w Polsce zdarza się książka autora ze Szwajcarii. Jeszcze rzadziej - poety. W tym tomiku otrzymujemy zapiski poetyckie będące formą rozważań na temat wiary i mistycyzmu.

Philippe Jaccottet „Samosiewy”, wyd. PIW, Warszawa 2025, cena 65 zł



Gdy zbrodnia miesza się z życiem osobistym

Kolejny tytuł spod ręki autorki thrillerów psychologicznych. Wątki detektywistyczne mieszają się z osobistymi, gdyż Tess Fox prowadzi śledztwo w sprawie macochy. Jenny Blackhurst „Nie ma dymu bez morderstwa”, wyd. Albatros, Warszawa 2025, cena 47,90 zł



Miedzy wrzosami na Wichrowych Wzgórzach

Eleganckie wydanie (piękne klasyczne ilustracje) znanej powieści „Wichrowe Wzgórza”. Brontë napisała ją w 1847 r., ale także dzisiaj przedstawiona przez nią historia uwodzi uniwersalnym, ponadczasowym pomysłem.

Emily Brontë „Wichrowe Wzgórza”, wyd. MG, Warszawa 2025, cena 64,99 zł

INWESTYCJE KOLEJNY FRAGMENT GŁÓWNEJ ULICY WARSZAWY STANIE SIĘ BARDZIEJ ZIELONY I PRZYJAZNY ROWEROM

Tak się zmieni al. Jana Pawła II. 10 mln zł na zieleni i drogę rowerową

Joanna Postrzednik
Warszawa

Ponad 10 mln zł będzie kosztować budowa nowej drogi dla rowerów w centrum Warszawy. Blisko kilometrowa trasa połączy rondo ONZ z aleją „Solidarności”. To fragment większej zmiany.

O przebudowie al. Jana Pawła II - jednej z najważniejszych arterii miasta - mówi się od kilku lat. Ale dopiero teraz miasto zaczyna przechodzić od słów do czynów. Pojawiają się pierwsze konkrety o tym, jak odmieniona aleja ma wyglądać.

„Po wschodniej stronie al. Jana Pawła II - między rondem ONZ a al. „Solidarności” - wybudowana zostanie nowa droga dla rowerów. Będzie tam także więcej zieleni, w tym niemal sto drzew. Powstaną też trzy parki kieszonkowe. Zarząd Dróg Miejskich właśnie podpisał umowę na realizację inwestycji” - poinformował Jakub Dybański, rzecznik prasowy Zarządu Dróg Miejskich.



FOT. ZDM WARSZAWA

Po wschodniej stronie al. Jana Pawła II - między rondem ONZ a al. „Solidarności” - wybudowana zostanie nowa droga dla rowerów. Jej długość to niemal kilometr

Przypomnijmy, że w sierpniu Zarząd Dróg Miejskich poznał oferty w przetargu na przebudowę alei. Wpłynęło wówczas pięć ofert, z których cztery mieściły się w zakładanym przez inwe-

stora budżecie. Wykonawcą nowej drogi dla rowerów zostało konsorcjum firm Balzola oraz Lantania, które złożyło ofertę w wysokości nieco ponad 10,1 mln zł. To wystarczyło, by wygrać przetarg.

Na budowę drogi rowerowej Warszawa zdobyła dofinansowanie z Unii Europejskiej. W ramach inwestycji powstanie droga dla rowerów o szerokości 2,5 metra. Blisko kilometrowa trasa przebiegać

będzie po wschodniej stronie alei, łącząc rondo ONZ z aleją „Solidarności”.

W granicach pasa drogowego al. Jana Pawła II przebudowana zostanie także ulica Twarda. Dostosowana zostanie do ruchu jednokierunkowego, który będzie się odbywał w kierunku zachód-wschód.

- Na skrzyżowaniu obu ulic pojawi się wyniesione przejście i przejazd rowerowy. Nowa droga dla rowerów i chodniki zyskają również doświetlenie - dodaje rzecznik prasowy Zarządu Dróg Miejskich.

W planach jest budowa trzech parków kieszonkowych. Dwa powstaną między ulicą Grzybowską a Parkiem Mirowskim, a trzeci zlokalizowany będzie między ulicami Grzybowską a Twardą.

Wypożądane będą ławki i metalowe siedziska. Całość dopełni zieleni ozdobna. Będą kwiaty, niskie krzewy, byliny oraz trawy. Pojawiają się m.in. róże, hortensje, tulipany, geranium, liliowiec.

Posadzonych zostanie dołącznie 99 drzew. Mają być nie

tylko uzupełnieniem szpalerów istniejących, ale również stworzyć zupełnie nowe szpalery wzdłuż ciągów pieszych. Aleję Jana Pawła II będą ozdabiać m.in. platany, klony, jarzęby, wiśnie ptasie i piłkowane.

Jak informuje ZDM, łącznie w centralnym obszarze Warszawy w toku lub na zaawansowanym etapie przygotowań są inwestycje z zakresu zrównoważonej mobilności na ponad 100 milionów złotych.

- Powstają drogi rowerowe w al. „Solidarności” (wraz z fragmentem ul. Leszno), a także na ulicach Andersa i Marszałkowskiej. Rozpoczęła się także przebudowa ul. Grzybowskiej, w ramach której powstanie droga dla rowerów - przekazuje Jakub Dybański.

Warto przypomnieć, że w 2020 r. firma Balzola już remontowała al. Jana Pawła II - jej centralny odcinek w okolicach Dworca Centralnego. Tam też pojawiły się nowe nasadzenia, w tym niemal 40 drzew. Pojawiły się też nowe przejścia dla pieszych.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kosiński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciniński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Karol Wlazło**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie tel.
668 085 925

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE
BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie
zlecisz przez Internetowe Biuro
Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

REKLAMA 0011345201

NAGROBKI
już od 3999 zł
Usługi z granitu, marmuru
- białe, parapety,
płytki, schody
RATY
22/214 06 31
500 290 360
Wólka Węgłowa
EKSPOZYCJA ul. Palisadowa 15

AUTOREKLAMA

Polecamy →

sk stronaKOBIEt



O kobietach i dla kobiet

stronakobiet.pl

AUTOREKLAMA

nasze
komunikaty.pl

SKOKI NARCIARSKIE LETNIE GRAND PRIX. POLACY WALCZĄ O PODIUM I DODATKOWE MIEJSCE W PUCHARZE ŚWIATA

Skoczkowie mają o co walczyć

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

W najbliższy weekend w austriackim Hinzenbach odbędą się przedostatnie zawody Letniej Grand Prix w skokach narciarskich. Stawką zawodów jest nie tylko wygrana w całym cyklu.

Liderem klasyfikacji jest Niklas Bachlinger. Austriak wyprzedza Japończyków - Sakutaro Kobayashiego i Naoki Nakamurę. Tuż za nimi jest Dawid Kubacki, a w czołowej „dziesiątce” są jeszcze - Kamil Stoch i Maciej Kot. Na najbliższe zawody, trener kadry Maciej Maciusiak zabrał Macieja Kota, Dawida Kubackiego, Kamila Stocha, Pawła Wąska, Aleksandra Zniszczoła i Piotra Żyłę.

Największym nieobecnym w kadrze na konkursy w Austrii jest zaledwie 18-letni Kacper Tomasiak, który wygrał dwa konkursy Letniego Pucharu Kontynentalnego. W najbliższy weekend Polak będzie rywalizował podczas finału LPK w niemiec-

kim Klingenthal, gdzie stawką jest nie tylko triumf w tegorocznej edycji drugoligowego cyklu, ale i dodatkowe miejsce startowe na początek olimpijskiego sezonu w Pucharze Świata - obejmujący zawody w Lillehammer, Falun, Ruce, Wiśle, Klingenthal i Engelbergu.

- Jeśli Kacper dalej będzie się tak prezentować, to zimą zaczęną nominację od niego. Zwycięstwo w klasyfikacji generalnej LPK byłoby dla niego motywujące i po prostu dobre. Może też wywalczyć dodatkowe miejsce na wiele konkursów otwierających sezon Pucharu Świata. Zima jest najważniejsza i te dwa czynniki są decydujące. A za tydzień pojedzie z nami na finał LGP w Klingenthal - mówi cytowany na stronie PZN Maciej Maciusiak.

W najbliższych zawodach nie wystąpi lider klasyfikacji generalnej cyklu - Niklas Bachlinger. Zawodnik, który znakomicie radził sobie zwłaszcza w sierpniu, w najbliższy weekend pójdzie śladami Kacpra Tomasiaka i wystąpi w ostatnich zawodach LPK.



FOT. ANDRZEJ BANAS

W pierwszej dziesiątce klasyfikacji generalnej LGP w skokach narciarskich jest trzech Polaków. Oprócz Dawida Kubackiego (4. lokata) są to Kamil Stoch i Maciej Kot

Celem Austriaków (podobnie jak Polaków) jest bowiem zapewnić sobie dodatkowe miejsca w początkowej części zimowego Pucharu Świata.

- Musimy wywalczyć dodatkowe miejsce na pierwszy cykl

zimowego Pucharu Świata, bo aktualnie mamy ich pięć. Jest bardzo duża szansa, że dzięki udanemu występowi w Niemczech, Kacper tę kwotę nam powiększy, a tym samym zapewni też sobie miejsce, być może na-

wet już na pierwszy konkurs Pucharu Świata. Cały czas walczymy też o czwarte miejsce na igrzyska, na ten moment mamy zagwarantowane tylko trzy. Gdyby we Włoszech wystartowało czterech skoczków,

byłby też rezerwowy, to pięciu wyglądałoby już całkiem nieźle - mówi nam Rafał Kot, członek zarządu PZN.

- Skoki Kacpra są na bardzo fajnym poziomie. To młody zawodnik, ale chciałem podkreślić, że jest bardzo ułożony i wie, czego chce. Jestem spokojny, że nie uderzy mu do głowy woda sodowa. Jeśli cały czas będzie umiejętnie prowadzony, ale też sam będzie doskonalił swoje skoki, powinien już w tym sezonie wiele osiągnąć, bo ma niesamowite możliwości - dodaje były fizjoterapeuta reprezentacji Polski i Adama Małysza.

W tym roku, z Polaków zawody LGP wygrywali - Maciej Kot w Wiśle oraz Dawid Kubacki w rumuńskim Rasnovie. Ponadto, Kamil Stoch i Kubacki byli najlepszymi w konkursie duetów we włoskim Predazzo.

W Hinzenbach odbędą się dwa konkursy indywidualne. Sobotnie zawody rozpoczną się o godz. 14.15, a niedzielne półgodziny wcześniej. Finał LGP 2025 w Klingenthal zaplanowano na 24-26 października. ©©

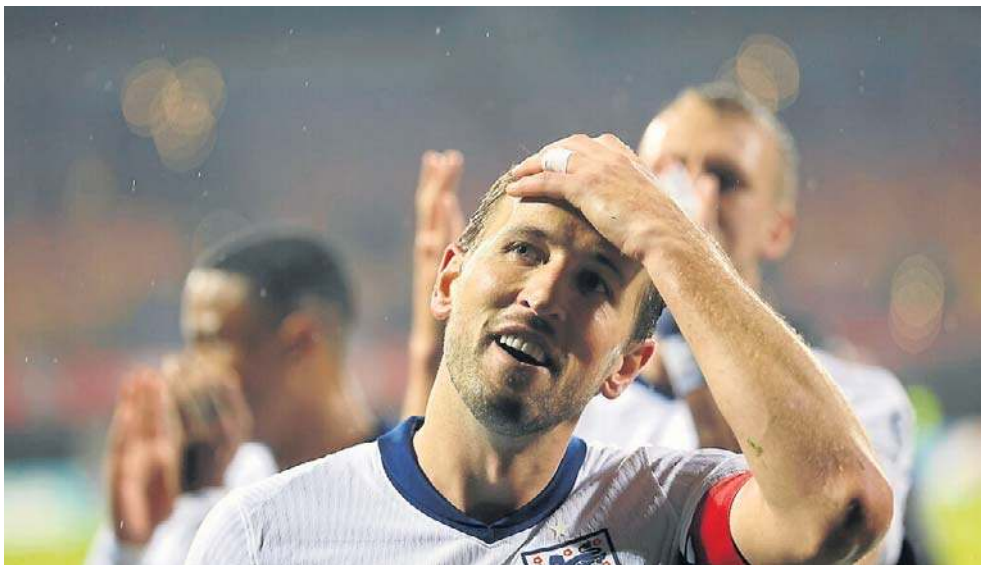
Złote marzenie Harry'ego – eliminacje w Europie przed finiszem

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Anglia wygrywając w Rydze z Łotwą 5:0, zapewniła sobie awans na przyszłoroczny mundial. Kolejne 2 gole zdobył rekordzista Albionu, uwielbiany przez kibiców Harry Kane.

Anglicy łatwo poradzi sobie w eliminacjach, dotąd nie stracili żadnego gola. W meczu z Łotwą Thomas Tuchel mógł sobie pozwolić na eksperymenty. W kadrze na październikowe spotkania zabrakło - nie licząc kontuzjowanych - takich zawodników, jak Trent Alexander-Arnold, Jude Bellingham (Real Madryt), Connor Gallagher (Atletico Madryt), Cole Palmer (Chelsea), Phil Foden (Manchester City), Jack Grealish (Everton), korzystali więc inni, na przykład Phil Gordon (Newcastle), autor pierwszego trafienia, czy Eberechi Eze, autor ostatniego. Obecna kadra Albionu to nie zbiór rozkapryszonych gwiazd, tylko grupa świadomych ludzi.

- Moim marzeniem jest wygranie mundialu i zrobimy wszystko, by optymalnie przygotować się do przyszłorocznego turnieju - mówił po meczu na Daugavas Sta-



FOT. PAP/EP/TONIS KALNINS

Harry Kane był już królem strzelców mistrzostw świata w 2018 roku. Teraz zapowiada, że on i jego koledzy z reprezentacji Anglii chcą zdobyć złoty medal na mundialu

diums Kane, który był królem strzelców finałów mistrzostw świata (2018) i Euro (2024, wspólnie z czwórką innych zawodników), a tego w futbolu przed nim dokonał tylko Niemiec Gerd Mueller. Mecz w Rydze wywołał ogromne jak na Łotwę zainteresowanie, trudno było nabyć bilety nawet od koników tuż przed jego rozpoczęciem, a szczęściarze z Polski kupowali je przeważnie po 150 euro. Kibice Albionu świetnie się bawili, choć

zmokli niemiłosiernie, bo niemal cały czas padał deszcz. Podopiecznym Tuchela opady nie przeszkadzały, po wygranej cieszyli się z fanami. - Mam nadzieję, że kibice. Dla nich warto się poświęcić. Chciałbym grać w drużynie narodowej jak najdłużej - przyznał Kane, który w 2018 z Anglią był czwarty na mundialu, a w 2022 doszedł do ćwierćfinału. Teraz celem będzie złoto, ale takie plany ma więcej reprezentacji.

W kwalifikacjach moc pokazuje Hiszpania, która w Valladolid udzieliła lekcji Bułgarii. Selekjoner Bułgarów dał odpocząć Viktorowi Popowowi, obrońcy Korony Kielce, chyba lekko zdołowanemu po strzeleniu samobójczej bramki, zresztą dość... efektownej z Turcją (1:6). W drugiej odsłonie na boisku pojawił się jego klubowy kolega - Władimir Nikołow, a w tym samym momencie opuścił je Martin Minczew z Cracovii. Ważnym ogni-

wem Ivana de la Fuente jest Mikel Merino z Arsenalu, którego kariera nabrała tempa po wspaniałym Euro 2024. W eliminacjach MŚ 2026 pomocnik zadowolony z wielu Janowi Urbanowi (u niego zadebiutował w seniorskiej piłce w Osasunie i podkreśla wdzięczność na każdym kroku) strzelił 6 goli, z czego 3 Bułgarom - jednego w Sofii i dwa w Valladolid. W rewanżu z Bułgarią Furia Roja zwyciężyła 4:0, a jej trener sprawdził na dziewiątce Samu Aghehowę z FC Porto. W powołaniach został pominięty Alvaro Morata, nieskuteczny w Como, gdzie został wypożyczony z AC Milan. Selekjoner Hiszpanów cały czas szuka rozwiązań, mały że jego drużyna gromi kolejnych przeciwników i zachwyca. W eliminacjach Furia Roja legitymuje się bilansem bramkowym 15-0.

Nie udało się zapewnić awansu Portugalii, choć rekord trafień w kwalifikacjach MŚ do 41 wyśrubował Cristiano Ronaldo; Węgrzy w doliczonym czasie doprowadzili do remisu 2:2 za sprawą trafienia Dominika Szoboszlaia z Liverpoolu. - Ten remis już nie zmienia sytuacji w tabeli, ale na pewno doskonale wpłynie na nasz zespół. Walczyliśmy z potentatem do samego końca - podsu-

mował Marco Rossi, trener Węgrów, ewentualnych rywali Polski w barażach.

Jak na razie z Europy awans do finałów MŚ 2026 zapewniła sobie tylko Anglia, bliskie tego są Portugalia, Hiszpania, Norwegia, Chorwacja, Francja, Holandia i Szwajcaria. Droga do turnieju wyjazdowym zwycięstwem z Walią 4:2 otworzyła sobie Belgia z odrodzonym po przejściu z Manchesteru City do Napoli Kevinem de Bruyne. W Cardiff Kevin trafił dwukrotnie z karnych, w eliminacjach ma już 6 goli, gdy zachodzi potrzeba w roli snajpera zastępuje trapiącego problemami zdrowotnymi Romelu Lukaku. Belgia z weteranami, może odkurzonym Axelem Witsellem (Girona, wrócił do kadry) także chce powalczyć o medal za rok. Na razie jednak trzeba przejść pomyślnie eliminacje jak Anglia, Argentyna, Ekwador, Kolumbia, Urugwaj, Brazylia, Paragwaj, Japonia, Iran, Jordania, Korea Południowa, Uzbekistan, Australia, Katar, Arabia Saudyjska, Nowa Zelandia, Maroko, Egipt, Tunezja, Algieria, Ghana, Zielony Przylądek, Republika Południowej Afryki, Wybrzeże Kości Słoniowej, Senegal. Gospodarze z USA, Kanady, Meksyku czekają... ©©

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą rozwiązanie – przysłowie polskie.

ROZWIĄZANIE: LZY KOBIECE TO CODZIENNA ROSA.